Nr. 11. 15. Maja 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

Od redakcyi.

Dziesięć numerów „Kółka rodzinnego" jest w ręku publiczności. Kończąc z tym miesiącem pierwszy kwartał pisma, winniśmy kilka słów czytelnikom naszym.

Nie wywiesiliśmy z góry naszej chorągwi, bo to wydało nam się zbytecznem. Nic łatwiejszego jak szumny frazes. Sądziliśmy, że cała przeszłość ludzi, którzy od zasad i usiłowań swoich ani na krok nie odstąpili, powinna być ową chorągwią; że dopiero treść pisma powinna okazać kierunek, w jakim postępować zamierzyliśmy.

Nie wywiesiliśmy z góry chorągwi naszej, bo w obec dzisiejszych stosunków było to wprost niemożliwem.

Nie założyliśmy nowego obozu, ale weszliśmy w ustawione szeregi. A wchodząc z całą powagą znanych krajowi imion, zdawało nam się, że uzupełniamy zastęp dziennikarstwa naszego. Tworzenie obozów w narodzie, który nie ma bytu politycznego, uważamy za zbrodnię. Jedna myśl, jedno uczucie powinny nas wieść do wspólnej mety.

Zasada, której służymy, jest nam niemniej drogą, jak cel, do którego dążymy. Nie widzimy narodu w jednej tylko warstwie społeczeństwa naszego, przeciwnie, całą przyszłość naszą widzimy tylko w połączeniu wszystkich, a mianowicie w podniesieniu ludu do godności narodu drogą oświaty w kierunku narodowym.

Tą drogą szliśmy, i nią pójdziemy dalej. Ze skarbca potężnej przeszłości naszej wezmiemy na drogę to wszystko, co nas żywi i zasila jako naród, a wojownikom jego dodaje otuchy do wytrwania.

Gorące dzisiejsze doby przyspieszają pochód dziejowy. W dziesiątkach lat wyrabia się dzisiaj to, nad czem dawniej wieki pracowały. Postępując z ogółem, a chcąc postępować naprzód, trudno miarkować kroki swoje. Gdzie serca gorąco pragną, tam umiarkowania nie ma; gdzie naród gorąco czuje, tam umiarkowanie jest grzechem.

Idziemy naprzód; może idziemy innemi drogami, ale nie mniej pewnemi: walczymy może inną bronią, ale nie mniej skuteczną.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1830...

Dziwną zaprawdę i nieodgadnioną jest moralna organizacya kobiety. Każda z nich ma w sobie coś demonicznego, ma jakieś związki tajemne, łączące ją z światem duchowym. Związki te rzadko ją łączą z piekłem, zazwyczaj z niebem. Tak połączona, miewa ona częstokroć tak jasne i pewne wejrzenia w przyszłość, jakich napróżno wysileniem swojego ducha i umartwieniem swych ciał dobijają się mędrce i proroki. Żegnając się z mężem, Klaudya miała takie wejrzenie prorocze. Była ona tak pewną, że jej mąż już nie powróci, jak gdyby jego skrwawione zwłoki na własne oczy widziała. Żadna pociecha, żaden głos trzeźwego rozsądku, żadna modlitwa nawet nie mogła w niej zagłuszyć tego przeczucia, które dla niej stało się wiedzą. Jakoż po wyjeździe męża w dni kilkanaście i ona zabrała się w podróż. Pytającym ją, dokąd wyjeżdża, odpowiadała głosem przytomnym i trzeźwym: iż jedzie po zwłoki mężowskie, aby je złożyć w grobach jego pradziadów...

Jakoż kiedy Seweryn się bił pod Grochowem, ona była w Warszawie. Po bitwie skończonej, pierwej nim wszyscy xięża i grobarze, była na placu boju. Nie szukała go między żywymi, ale szła prosto między poległych. I szła tak, jak gdyby go była widziała padającego pod cięciami niechybnej śmierci. Jakaś gwiazda niebieska ją wiodła. Przyszedłszy do jego zwłok, stanęła nad niemi i stała tak chwilę w myślach żałobnych, bez łez, bez westchnienia, jak posąg boleści. Ona go dawno już opłakała. Wzięła je potem, zawiozła z sobą do Warszawy, gdzie złożywszy je w trumnę, zabrała z sobą do Grodowisk. Przewóz ten był kosztowny; bo dzikie jest na tej ziemi drapieztwo: są ludzie, którzy odzierają żywych, i są którzy odzierają umarłych. Podróż ta, kosztowała Klaudyę jej wszystkie klejnoty. Ostatni sznurek pereł został się na granicy; sadzony brylantami zegarek opłacił możność odprawienia spokojnie pogrzebu w domu. Po

pogrzebie została jej się tylko ślubna obrączka — i ubóstwo, i nędza, i dwoje maleńkich sierotek. I cisza przytem jak w grobie...

— Ale tak dobrze! — mówiła Klaudya spokojnie. Ubogą była, nędzną, nieszczęsną i tak zbitą cierpieniem, jak Chrystus, kiedy szedł na Golgotę; ale z spokojem anioła przyjęła swój los i dumną była, że taki los właśnie wypadł dla niej z urny przeznaczeń. Niechaj kto inny Krezusowe zgromadza bogactwa, niech mieszka w kryształowych pałacach, karmi się słowiczemi języki, pija wino cypryjskie z czar koralowych i sypia na axamitach, niech przytem przez gabinety, giełdy lub banki, rozrządza światem: a nie wiem, jeżeli ten choć w połowie zaważy tyle u Boga, co ona. Ona powinna była również tak wiele ważyć na ziemi. Ale tak to nie bywa. Poczciwi ludzie umieją szanować cierpienie i cnotę; któż o tem wątpi? Ale jeżeli tej cnocie towarzyszy ubóstwo, wprędce się kończy uszanowanie. Tak było i z Klaudyą. Dawne jej przyjaciółki wspominały o niej z wywracaniem oczu i wykrzykiwaniem: — Biedna ta Klaudya! ojciec jej na Sybirze, mąż zginął na wojnie, jej majątek w sekwestrze: biedna ta Klaudya! — Ale na tem się wszystko kończyło. A kiedy ją przyszło odwiedzić, śmiertelne przechodziły ich mory. Ach! gdyby jej nie zastać, gdyby nas nie przyjęła! — I cóż to jest? Dlaczegóż jej nie odwiedzacie jak dawniej, dlaczegóż z nią nie żyjecie, dlaczegóż nie biegniecie do niej tak na wyścigi jak wtedy, kiedy posiadała bogactwa? Czyliż wam dziś nie poda takiej samej filiżanki herbaty i takiego samego sucharka, jak wówczas? a ona sama czyż nie jest dziś warta więcej, niż kiedykolwiek? Ażaliż już macie serce takie zepsute i takie nielitościwe? — Nie, gdzież tam! Wy macie serce najlepsze. Ale taki duch dzisiaj wieje po ziemi, taka nuje zaraza: tak cały świat ucieka dziś od ubóstwa! na Przeklętym jest urok mamony; owionął on dzisiaj wszystkich, ogarnął rozumy i serca, prowadzi je w kał, w trzęsawiska bezdenne, na dno piekielne — a nie masz kto-by go krzyżem świętym zażegnał i w imie wiekuistego ducha potargał i przydeptał do ziemi...

Klaudya żyła w wielkiem ubóstwie. Grodowiska były obdłużone cokolwiek, zapasy w ostatnich latach się wyczerpały, gospodarstwo jeszcze za życia męża podupadło, dochody więc były bardzo niewielkie. A ciężary i obowiązki pozostały te same, jak za czasów najlepszych. Było to zatem wielkie brzemie jak na barki kobiety: ale Klaudya znosiła je mężnie. Bardzo się jej wtedy przydała ta szczypta męzkości, którą sam ojciec jej nadał. Wiedział on dobrze, co robi. Zawsze tak w starej Polsce wychowywano dziewczęta; i było to bardzo rozumnem, bo wtedy się nieraz zdarzało, że żonom przychodziło przez długie czasy zastępować mężów, w domu i w gospodarstwie, a czasem dopomagać im nawet w sprawach publicznych. Nie była-by nigdy Chrzanowska oswobodziła Trębowli — i nie były-by obydwie Potockie rozwoziły na koniach prochu i kul w bitwie Kaliskiej: gdyby były nie odebrały wychowania po temu. Ojciec Klaudyi pamiętał o tem wszystkiem, co było dobrego u ojców — i owóż jak się to jego córce przydało.

Zajmowała się ona sama gospodarstwem — i bardzo rozumnie, o ile tak czysto-męzkie zajęcie nie przechodzi siły kobiety. Zaprowadziła jak największą oszczędność w domu, chłopców przyzwyczajała przedewszystkiem do skromności i pracy, sama pilnowała wszystkiego i nie zapominała o niczem. Z jej pracy nie wypływały dostatki, był nawet brak wielu rzeczy, ale przynajmniej głodu nie było. A przytem obowiązki wszystkie były święcie dopełniane. Msza święta zawsze się utrzymywała w pałacowym kościółku i stary wikaryusz miał utrzymanie ze dworu. Musiał on teraz wypełniać obowiązki nauczyciela w szkółce, ale się chętnie ich podjął; zaczem i szkółka istniała i zakład dla dziewcząt. Niemało trudności przyczyniało to Klaudyi, iż jak we wszystkich starych szlacheckich dworach, tak też i w Grodowiskach, było nie mało sług starych, którzy od dziecka we dworze służyli; a byli także i gracyaliści, zazwyczaj niezmiernie długo żyjący, którzy się chowali przy domu jeszcze od czasów Bernarda. Z tych starych sług był bardzo mały pożytek a z gracyalistów nie było żadnego: ale jakżeż ich poodprawiać? Gdyby na to pozwalała uczciwość, to nie pozwala uszanowanie dla cieniów ojcowskich, nie pozwala nareszcie wrodzona ludziom zwyczajnym pobożność, która wierzy, że za utrzymanie takich staruszków spływa na dom błogosławieństwo Boże. Klaudya odejmowała sobie od ust — a tych starców żywiła. Tak w ciężkiej pracy, w ustawicznej trwodze o jutro, w nieskończonych ofiarach, dźwigała ta anielska kobieta ten ciężar, dopóki jej sił wystarczało.

Jednak tego rodzaju siły niewieście nie są niewyczerpane. Kobieta się może zdobyć na największą ofiarę i podołać pracy najcięższej: ale wytrwać w niej długo, nie potrafi jej słaby fizycznie organizm. Klaudya wytrwała w tej pracy lat dziesięć: ale w dziesiątym roku już była tak zmęczoną, że prawie tylko cień z niej pozostał. Była jeszcze natenczas piękna: och! jakże piękna! Blada jej twarz zdawała się błyszczeć blaskiem anielskim a jej wzrok, nie mający równego na ziemi, sprawiał przejmujące wrażenie. Ale lampa jej życia już tliła tylko ostatkiem i zapowiadała Chrystusowym wyrazem jej twarzy, że lada chwila zagaśnie...

Nie dziwno to wcale. Albowiem prócz ciężkiej pracy i zgryzoty domowej, trawiły ją jeszcze i inne boleści. Jej ojciec ciągle był na Sybirze. Boleści tej, jaką to przynosiło Klaudyi, nie potrafi nikt sobie odtworzyć: przeczuć ją może ten tylko, kto widział sam swego ojca w kajdanach. Klaudya niezmiernie wiele nad tem cierpiała. Boleść ta spadała jak kropla ognista na jej serce, co dzień, co godzina, co chwila; raz przejmowała je ogniem a drugi raz lodem, a zawsze trawiła. I tak wciąż, bez ustanku, przez kilkanaście lat. To już nie boleść, to piekielne katusze... Szczęśliwem zrządzeniem, prawie cudem, który Pan Bóg dopuszcza tylko tak wiele cierpiącym, otrzymała

Klaudya przez te lat dziesięć dwa listy od ojca. W jednym opisywał jej swoją niedolę i ciężką pracę, przez jaką musi przechodzić: w drugim donosił o polepszeniu swojego losu. Pozwolono mu mieszkać w Tobolsku i trudnić się nauczycielstwem dzieci jenerała. Nizka i nudna-to była praca, dochody z niej wystarczały zaledwie na życie żebracze: ale zawsze to była już znaczna w jego losie poprawa. Donosił przytem, iż pomimo upodlenia, jakie los jego z obowiązku przynosił ze sobą, potrafił sobie przecież zarobić na jakikolwiek szacunek, na poważanie, a tu i ówdzie nawet na przyjaźń i miłość; czemu niech się nie dziwi, — dodawał zacny Szydłowski, — bo jakiebądź gdzie są rządy i sądy, przecież wszędzie są ludzie!— List ten był bardzo pocieszającym na razie, lecz zawsze smutnym, bo nie było w nim ani wspomnienia nadziei. To Klaudyę gryzło najmocniej. Takiego mieć ojca, tak go kochać, i wielbić, i tyle nad nim przecierpieć; znajdować się z nim na jednej ziemi i nigdy go już nie obaczyć: ta myśl była dla niej okropną. Jakoż przez cały ten przeciąg lat o niczem nie rozmyślała więcej, jak aby na Sybir pojechać. Podróż taka nie zdawała się niepodobną; niejedna Polka ją odprawiła. Ale dla niej była wciąż niepodobną. Z początku stały jej na przeszkodzie jej dzieci: bo jakżeż takie małe robaczki na cudzej zostawić opiece? A potem, kiedy dorosły i odesłała je do szkół do miasta, znacznie się przez to pomnożyły jej wydatki. Obliczyła sobie, że jej tylko kilkaset dukatów trza na tę podróż: ach! gdyby tylko je miała! Jechała-by była prostemi wozami, żydami, psami; szła-by pół drogi piechotą, przez całą drogę nic-by nie jadła; kilkaset dukatów było dla niej aż nadto! — ale i tych nie nie można było uzbierać. Jest coś dziwnego, coś fatalnego, coś że tak powiem satanicznego, w tem ludzkiem nieszczęściu. Kiedy sobie upatrzy ofiarę i zaweźmie się na nią, to zdaje się wyraźnie, jak gdyby jej przeciwnemi losami kierowała jakaś rozumna, wszystko wiedząca i wyrachowana istota. Klaudya to uważała na sobie. Przy takiej oszczędności, uzbierać te kilkaset dukatów z Grodowisk, nie było wcale niepodobieństwem. I ona już miała prawie całą tę summę po kilka razy; bardzo mało jej brakowało. Ale zawsze, albo który z jej synów zachorował i trzeba było do niego pojechać; albo sama zachorowała i musiała z tej summy opłacać leki i lekarzy: a kiedy już takich zwyczajnych nieszczęść zabrakło, wybuchnął pożar i gumna jej się spaliły. Ten ostatni wypadek odebrał jej wszelką nadzieję. Nie było już zresztą podobieństwa i zkąd innąd, ażeby mogła kiedykolwiek w swem życiu tak daleką i niebezpieczną podróż przedsięwziąć. Albowiem wtedy zaczęły ją już coraz bardziej opuszczać siły. W roku 1840 znacznie się odmieniła — a w roku następnym była już tak słabą, że nie mogła opuszczać pokoju. Tymczasem właśnie natenczas rozniosła się była jakaś wieść głucha po kraju, jakoby wielu z współczesnych jej ojcu wygnańców popowracało z Sybiru; jedni z nich pod warunkiem, że będą mieszkać w południowych guberniach rossyjskich, a drudzy zgoła bez żadnego warunku. Jakiś podróżny nawet miał był przywieźć wiadomość, że niektórzy z tych wygnańców, co już powrócili i zamieszkali w południowych guberniach, mają nadzieję, że im ich dobra będą zwrócone — a jeśli nie, że przynajmniej odzyskają z nich tyle, ile im dzisiaj potrzeba na życie. Wiadomości te, lubo bardzo niepodobne były do prawdy, zatrzęsły całą istotą Klaudyi. Ach! gdyby jej ojciec powrócił! chociaż-by tylko do południowych gubernii! chociaż-by w ubóstwie i nędzy! Gdyby jeszcze tę resztę życia, choć kilka lat, choćby jeden rok tylko, przeżyć z nim razem!... Klaudya była cała wzburzona tą myślą. Porozpisywała listy na Pobereże, do Warszawy, do Kijowa, do Petersburga i z wrzącą niecierpliwością oczekiwała ich skutku. Zaczęła mieć nawet jakby jakąś nadzieję. Modliła się Bogu gorąco; nikt tak się nie modlił! a te modlitwy pokrzepiały ją jeszcze w nadziei. Wiadomości pocieszających żadnych nie było i wtedy ich nawet być jeszcze nie mogło: ale gdyby były nadeszły, to były-by się prawie już na nic nie zdały. Klaudya, trawiona ciągle boleścią, zaczęła się teraz trawić jeszcze niespokojnością, a tego już nie mógł wytrzymać jej roztargany organizm. Gasła już coraz widoczniej i naglej. Przyszedł nareszcie jakiś rodzaj gorączki i położył ją w łóżko. Dnia tego, w którym się kładła, była jeszcze tyle przytomną, że napisała testament, wyznaczyła opiekuna swym dzieciom, posłała po nie do Lwowa — a w wieczór odprawiła spowiedź ostatnią i przyjęła przenajświętszy sakrament. To było ostatnie jej szczęście. Bo nazajutrz już przyszła tak silna gorączka, że jej odebrała pół przytomności. Była świadomą siebie tylko chwilami. Tak przeżyła już tylko dni kilka. Ostatniego dnia koło północy zaczęła się zrywać z łóżka, łamiąc ręce i płacząc. Czasem wzywała męża a czasem dzieci i ciągle gorącemi zalewała się łzami. Nareszcie zaczęła coś mówić o swoim ojcu, poczem z najprzeraźliwszym krzykiem: — Na Sybir! na Sybir! puśćcie mnie na Sybir! — upadła bezwładna w poduszki i zgasła...

Na jej pogrzebie nie było nikogo z sąsiedztwa. Wszyscy o niej dawno już zapomnieli. Tylko gromady jej zbiegły się licznie, starcy, kobiety, dzieci i wszystko, co żyło wtych wioskach. Najpoważniejsi gospodarze nieśli jej lekkie zwłoki do familijnego kościółka — a za niemi wlokły się całe chmury wiejskiego ludu, napełniając rozgłośnym jękiem drżące nad sobą powietrze. —

Przez kilkanaście dni potem odprawiały się w tym kościółku nieustające żałobne msze za jej duszę, które najmowały poddane jej niegdyś gromady. Odtąd też ten kościółek nabrał u tamtejszego wiejskiego ludu szczególnego znaczenia. Rzecz to jest osobliwa! W jego podziemiach spoczywało kilkanaście głów z panującej tym gromadom familii: a mimo to nigdy one nie zwracały na niego nawet swojej uwagi. Nikt ze wsi nie chodził tam modlić się, każdy go mijał, mówiąc: — To nie nasza, to pańska świątynia. —

*

Wszakże od śmierci Klaudyi te same gromady tak się przywiązały do niego, iż go przenoszą nad kościół swój parafialny, a nikt gdzieindziej mszy nie najmuje, jak tam. Jakiś osobliwszy urok go w ich oczach otoczył: wierzą, że się cudy tam dzieją, — widują w nocach xiężycowych jakąś postać białą, która z progu kościółka wyniesioną do góry ręką błogosławi leżące na dole wioski, — udają się w chorobach do niego i ulgi doznają. A i dziś jeszcze, ktokolwiek przez Grodowiska przejeżdża, pewnie mu go jakiś wieśniak z radośną dumą pokaże i powie: — To nasz cudowny kościółek: nasza pani święta tam leży.

Nasz lud, chociaż nieoświecony, miewa zazwyczaj niezmiernie jasne przeczucia sprawiedliwości i prawdy. Nawet ś. p. Bernard, chociaż w pobożnej się chowa tradycyi, nie jest tak popularnym u niego, jak Klaudya. I nie jest to bez przyczyny. Bo Bernard kochał go tylko z politycznych powodów a może już tylko z rozpaczy — a Klaudya go kochała z chrześcijańskiej miłości.

Od roku 1841....

Synowie Klaudyi, Dobiesław i Krzesław, nie przyjechali na pogrzeb matki. Nie dostali urlopu. W owoczesnych przepisach szkolnych nie było żadnego paragrafu, który-by na to zezwalał, ażeby się uczniowie absentowali od szkół z tak błahego powodu, jakim jest śmierć którego z rodziców. A gdyby byli nawet dostali urlop, to było-by im się to na nic nie zdało, bo już było za późno. Doniósł im o tem opiekun i przez to ich podróż, którą starszy Dobiesław chciał przedsiębrać wbrew zakazowi szkolnemu, jeszcze zawczasu powstrzymał. Któż był ich opiekunem?

O granicę od Grodowisk, tuż koło Starodzięk, leżała wieś, która się nazywała Plenna. Była to wioska niewielka, ale tłusta a przeto bardzo intratna. Właścicielem jej był jeden z zamożnych panów, który miał kędy indziej dobra rozległe, i z tego powodu nie mógł jej admininistrować na własną rękę. Puścił ją zatem niejakiemu panu Nowickiemu w dzierżawę, potem oddał ją w zastaw, a nareszcie i sprzedał.

Nowicki był to Galicyanin krwi pełnej: *thoroughbred*, jak nazywają Anglicy swe konie. Naród ten, który się dopiero w bieżącym wieku zaczął wynurzać z odmętów historyi, jest dotąd jeszcze daleko mniej licznym niżeli wynaleziony niedawno naród Rutenów, a nawet nie jest jeszcze do dziś dnia całkowicie odkrytym, ani też w poczet europejskich narodów przyjętym. Charakter i obyczaje tych ludzi są nadzwyczajnie ciekawe. Przedwszystkiem innem są to biali murzyni, którzy tak jak jeszcze wielu z pomiędzy czarnych nadzwyczaj ukochali niewolę, i za nic w świecie nie dali-by się z niej wyswobodzić. Przymiot ten mają sobie za szczególniejszą zaletę, radzi się nim chlubią, a tego, który się nim odznacza, cenią niezmiernie wysoko. Na tem polega głównie ich narodowość. Religii nie mają żadnej: a lubo według pierwiastkowych narodów zwyczaju mają rozmaitych bożków, do których się modlą, jednak nie doczekali się jeszcze proroka, który-by te nabożeństwa w jakiś stały powiązał system i nadał mu powagę religii. Wszakże natomiast mają swe przekonania, których się trzymają niezłomnie: tak jak np. wierzba, drzewo dość piękne chociaż zazwyczaj spruchniałe, ma przekonanie niezłomne, że wszystkiemi swemi korzeniami trzyma się błota. Mówią oni powszechnie swym własnym galicyjskim językiem, który to język jest cokolwiek do polskiego podobnym; ale umieją przytem i inne języki, jako to: francuzki, niemiecki, żydowski i ruski. Nie wyrobiszy jeszcze dokładnie swego języka, zwykle go z jednym z wyż wymienionych mieszają: więc oświeceńsi z francuzkim, chrzczeni z niemieckim, niechrzczeni z żydowskim, a inni z ruskim. Żaden roztropny człowiek nie zechce się temu dziwić, zwłaszcza zważywszy, że to naród tak świeży: z początku ludzie rozmawiali na migi. Literatury swojej także jeszcze nie mają. Mieli już wprawdzie swego własnego miotu autorów, ale z tych jeszcze żaden większego rozgłosu nie zyskał: co-by też było dość dziwnem, gdyby ktoś z tak małego narodu wielki rozgłos wydobył. Znajdują się oni zresztą co do literatury w odwrotnym od Rutenów stosunku: tamci mają język a głosek nie mają; ci mają głoski a języka nie mają. Nauki mają w jakimkolwiek poszanowaniu, ale tylko te, które dają chleb pewny. Ponieważ w swoim języku żadnych nauk nie posiadają i dotychczas zdobyli się zaledwie na kilka gramatyk, więc ratują się xięgami oświeceńszych od siebie narodów, jako to: Niemców i Polaków. Jednakże xiąg tych ostatnich używają jaknajmniej, bo mają do nich wstręt tradycyjny. Sztuk pięknych nie pielęgnują żadnych, i dziwią się nadzwyczajnie Polakom: jak niektórzy z nich mogą się zajmować takiemi głupstwami. Historyi polskiej, chociaż-by ich choć cokolwiek obchodzić powinna, całkiem nie znają — a swojej własnej jeszcze nie mają. Albowiem ich historya jeszcze nie wyszła z epoki ustnych tradycyi, które zazwyczaj wyglądają bajecznie. Toż o pierwszych tego narodu początkach trudno coś pewnego powiedzieć. Podług ich tradycyi miało się tutaj, temu już bardzo dawno, może już lat ośmdziesiąt albo może i więcej, zrobić jakieś zaburzenie okrutne — a z niego miał się wyłonić naród galicyjski. Jednak to bajką: bo przecież wtedy mieszkali tutaj Polacy, tak jak i dzisiaj mieszkają — a nic o tem nie wiedzą. Pewniejszą tedy jest rzeczą wierzyć, że narodek ten wyłonił się o wiele później i urobił się zwolna z Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów. Mniemanie to potwierdza głównie ta okoliczność, iż jest on jeszcze do dziś dnia bardzo nieliczny i żyje porozsiewany dość rzadko po Rusi Czerwonej, południowych częściach Mało-polski i Bukowinie. Bukowina jest ich ziemią obiecaną, do której się garną najchętniej: tam też podobno chowają się w rasie najczystszej. Jest nawet wielkie podobieństwo, że kiedyś tam wszyscy pociągną i dopiero natenczas staną się rzeczywistym narodem. Domysł ten jest o tyle podobniejszym do pra-

wdy, o ile w samej istocie obyczajem pierwiastkowych narodów przenoszą żywot koczowniczy nad ustalony, nie przywięzują się namiętnie do miejsca, i wszędzie ciągną za zyskiem. Nie mieszkają jednakże w norach ani po lasach, jak inne narody pół-dzikie; ale w kamienicach i domach, zbudowanych na fundamentach i dachem nakrytych. Najchętniej mieszkają w miastach; ale osiadają także i po wsiach. Zatrudnienia ich są najrozmaitsze: a raczej niemasz zatrudnienia, któregoby się nie chwycili, jeżeli tylko korzyść przynosi. Więc posiadają dobra i radzi niemi handlują; trzymają dzierzawy, trudnią się kupiectwem i przemysłem; bywają także xieżami, nauczycielami, gorzelnikami a nawet ekonomami; lecz przedewszystkiem chciwie chwytają wszelkie posady, które zapewniają chleb stały. Rzemiosł bardzo się rzadko imają, chyba tylko po wielkich miastach: a ludu wiejskiego całkiem pomiędzy sobą nie mają. Niektórzy z nich skrzętnie zajmują się lichwą, kopią dołki pod Polakami i często ich wyzuwają z majątków. Zachowują obyczaje swe własne, które są wprawdzie do europejskich podobne, lecz w gruncie rzeczy są bardzo odmienne. Mianowicie tem głównie się różnią od europejskich narodów, iż się zapamiętale kochają w świecidłach. W namiętnej chciwości jedni łby sobie rozbijają za błyskotkami — a drudzy czekają na nie z cierpliwością kamienia, zanurzonego w kałuży, przez całe życie. Wszakże i temu nie należy się dziwić, zważywszy ich pierwiastkowość: murzyni dają sobie nosy przekłuwać, ażeby tylko mogli w nie wetknąć lśniącą błyskotkę. Toż także tak samo, jak dzicy ludzie, nie popadają nigdy w żadne idealizmy: owszem przeciwnie, są wyznawcami najgrubszego materyalizmu. Mieszkają rozsypani pomiędzy Polakami i żyją zwykle osobno: jednak w niektórych czasach i interesach mieszają się z nimi, i podszywają się pod ich miłości i nienawiści. To mieszanie i podszywanie się dowodzi najlepiej, iż jeszcze nie są narodem. Ale i to także to samo dowodzi, że narodowa ich nazwa nieznaną jest jeszcze w krajach najbliższych, jak np. w Węgrzech i Niemczech: a nawet i oni sami do niej się nie przyznają. Tylko ten, który jest mojżeszowego wyznania, spotkany za granicą i zapytany czem jest; odpowiada z dumą: — *Ich bin ein Galizianer*. Ależ nie przeszkadza to im wcale, ażeby się kiedyś nie stali narodem. Owszem, staną się pewnie: zwłaszcza jeżeli jaką ziemię dla siebie zdobędą, albo wynajdą sposób bycia narodem bez ziemi, co w wieku wynalazków tak licznych jest wcale podobnem.

Nowicki miał lat blizko czterdzieści i zaczynał już siwieć cokolwiek, za co się wcale nie gniewał, bo mu to dodawało powagi. Był wysokiego wzrostu, pociągłej twarzy, zgrabnego nosa, jasno-siwych oczu, ust wąskich lecz uśmiechnionych. Wąsów nie nosił, tylko pod miarę przystrzyżone faworyty okrążały tę twarz, na której wybitnie się malowały rozmysł, roztropność i wielki spokój. Jakoż w samej istocie nikt go nigdy nie widział gniewającego się, nigdy rozmawiającego o niczem z namiętnością ani zapałem, nigdy obstającego z energią przy swojem zdaniu: spokój i flegma, to były wybitne cechy jego postaci zewnętrznej. Wybitniejszą od nich była już tylko dobroduszność, którą sztucznie w sobie wyrobił i wydoskonalił do tego stopnia, iż było bardzo wielu ludzi w sąsiedztwie, którzy go mieli za człowieka nadzwyczajnie dobrego serca. Reputacyę tę utrzymywał wszelkiemi siłami a często nawet i ofiarami: sprawiał od czasu do czasu coś do kościoła, nigdy od składek się nie usuwał a nawet rzeczą jest pewną, iż kilka razy dał po kilka dukatów do składek na emigrantów. Był przytem z tego względu nieocenionym, iż żył w dobrem zachowaniu z najbliższemi władcami: toż kiedy kręto było około kogo a pomoc była możliwą, on pewnie dopomógł. Raz mandataryusz, który utrzymywał kilkanaście dominiów w sąsiedztwie, popadł był w proces o zdzierstwa chłopów i defraudacye pupillarnych pieniędzy; cały świat był przekonany, że mandataryusz przepadnie: ale jak się Nowicki zabrał do niego, tak go najzupełniej wykręcił. Takich wypadków kilka dało mu pewne zachowanie w sąsiedztwie — i powiadano o nim: Mówcie sobie co chcecie, ale człowiek taki jest zawsze potrzebny. I był on istotnie potrzebnym. Bo jeśli komu trza było gwałtem pieniędzy a nie mógł ich dostać jak na dwadzieścia i cztery od sta, on mu dopomógł, że ich dostał na ośmnaście; jeśli kto miał zboże na sprzedaż i nie mógł sprzedać, on był tak dobrym, że kupił, chociaż nie potrzebował; a jeśli kto miał wieś, gorzelnię, młyn, browar do wypuszczenia w dzierzawę a nie mógł znaleźć dzierzawcy, on się zawsze nad nim zlitował. Czyż takiego człowieka nie cenić? — Przeniknąć było jego wszystkie sprawy, a przedewszystkiem rozpytać się chłopów o niego, tych biednych chłopów, których on na przednowku ratował: było-by można takich dowiedzieć się rzeczy, od których włosy wstają na głowie; alo któż wtedy o cobadź zapytywał się chłopów? — Toż go nikt nie przeniknął, krom jednego pana Michała, który przy sprzeczce o jego uczciwość powiedział o nim: — Nie, uczciwym on nie jest, ale jest człowiekiem porządnym, to znaczy: że urządza tak wszystkie swe sprawy, ażeby nie miał kryminalnego procesu.

Kiedy Klaudyę po jej nieszczęściach opuścili wszyscy, Nowicki zawsze o niej pamiętał. Odwiedzał ją często, mówił grzecznie i słodko, litował się nad jej nieszczęściami i jak mógł, tak jej pomagał. Dzierzawił od niej gorzelnię, browar, tartaki, blichy a nawet i propinacyę. Wypłacał się zawsze najregularniej, często nadpłacał, a kiedy tego było potrzeba, to jej pożyczał bez żadnej prowizyi. Cudne on tam wyrabiał rzeczy. Trzymał wszystko w pół darmo, pustoszył lasy, zabierał z gruntu paszę dla siebie, wykradał nawet nawozy; zdemoralizował wszystkie jej sługi, poprzekupywał je dla siebie i zaprowadził pomiędzy niemi jaknajwiększą swawolę; okradano biedną Klaudyę na wszystkie strony a jej majątek po tatarsku niszczono. Jeżeli Klaudya przez dziesięć lat swego sieroctwa taką cierpiała nędzę, to tylko on temu był winien; jeżeli przez dzie-

się lat nie mogła zebrać tych kilkaset dukatów, któremi chciała opędzić koszta podróży do ojca, to tylko jemu miała do zawdzięczenia. Straszliwy ten człowiek siedział jak upiór na jej wyschniętej piersi, ssał jej krew jeszcze ciepłą, wypijał jej duszę, grób jej kopał pomału! — Ale był przytem słodkim i grzecznym i zręcznym — i był jedynym, który o niej pamiętał. Ażaliż dziwno, że pozyskał ufność tak nieszczęśliwej kobiety? — Był on żonatym. Ale gdyby nim nie był, ażaliż-by było dziwno, gdyby był nawet jej miłość pozyskał? — Oh! wcale nie dziwno. Bo najnieszczęśliwszą jest kobieta, uciśniona nieszczęściem i w tem nieszczęściu samej sobie pozostawiona. Jest to zbłąkana owieczka, którą wilk porwie, niedźwiedź zadławi, wąż nawet zdradliwie podejdzie, owinie swemi straszliwemi splotami i zdusi.....

Tym sposobem taki Nowicki został opiekunem sierot pozostałych po Klaudyi. Prowadził on tę opiekę prawie tak samo, jak za życia matki, jednak cokolwiek ostrożniej, bo miał teraz do czynienia z sądem: a nasze sądownictwo ówczesne, niezawisłe od władz politycznych, bywało czasem bardzo uporczywem w obronie sprawiedliwości. Toż obawiając się sądu, starał się natomiast swoich pupillów ile możności dla siebie pozyskać. Sprowadzał ich zawsze ze Lwowa na ferye, zapraszał ich do siebie, gościł uprzejmie, miał dla nich zawsze wierzchowe koniki, wózeczki, fuzyjki, pieski, i wszystkie tym podobne zabawki. Zgoła przyhołubiał ich do siebie jak mógł, i w zachowaniu się swojem względem nich grał po mistrzowsku rolę przywiązanego ojca. Mając dwie małe córeczki, Bóg tam go wie, jakie miał myśli natenczas.....

Ale pomimo to wszystko miał z tymi chłopcami sprawę dość trudną. Taka wiekami zahartowana krew bywa częstokroć twardą w użyciu. Toż i obadwa ci chłopcy nie byli wcale dla niego tak łatwo przystępni, jak się tego spodziewał.

Starszy Dobiesław miał jakiś nieprzeparty wstręt od tego człowieka. Miał on już wtedy rok siedmnasty, i prześlicznym był chłopcem. Średnio się trzymał we wzroście i był jeszcze wtedy dość szczupłym, ale był krzepkim, miał siłę w ręku i ustawicznie ją ćwiczył. Twarz miał prawie okrągłą, młodzieńczym okrytą meszkiem, włosy ciemno-blond, oczy czarne, lecz jeszcze bardzo nieustalonego wyrazu. Czasem w nich rzeczywiście natchnione pałały blaski, a kiedyindziej powlekała je jakby jakaś melancholiczna osłona: to też czasem był cały w sobie samym zamknięty, jak koncha ławą obejmująca w sobie perełkę, — a czasem tak patrzał temi pałającemi oczyma na otaczający go świat, jak gdyby go przejrzał na wskróś, przeczuł jego wszystkie boleści i chciał go czemprędzej przycisnąć do kochającej swej piersi. Takie też zwykle na feryach prowadził życie. Rad odwiedzał groby swych ojców, stawał tam zadumany w podziemiach i klęczał w pobożnej modlitwie przy trumnie swej matki. Nieraz go tam ciemna noc zaskoczyła; słudzy się wtedy obawiali o niego i powiadali swą trwogę wracającemu; ale on tylko się dziwił tej trwodze i odpowiadał: — Mniej ja się obawiam umarłych, niż żywych. — Słyszał taką odpowiedź jego opiekun i długo nad nią rozmyślał, bo przecież i on należał do żywych. W ogóle jakoś dla Nowickiego był niepojętym Dobiesław. Miał on bowiem jeszcze i inne nawyczki, które w głowie takiego opiekuna nie mogły się wcale pomieścić. Tak np. daleko chętniej bawił sam w smutnych Grodowiskach, niżeli w wesołej Plennej. Tam się często zamykał w pokoju matki, stare familijne papiery przeglądał i niektóre z nich przepisywał. Wyjmował ztamtąd niektóre listy i uczył się ich na pamięć: a ową małą Szydłowskiego karteczkę i jego dwa listy pisane z Sybiru zamknął w biórku matczynem, i klucz schował do siebie. Kiedy nie był familijnemi papierami albo xiążkami zajęty, szedł na wieś i odwiedzał istniejącą jeszcze wciąż szkółkę, pomagał wikaremu w nauce dzieci, egzaminy robił i z oszczędzonego przez siebie grosza sprawiał im podarunki. Nie nowiną mu było przejść się także pomiędzy chaty wieśniacze. Miła-to była zawsze dla niego przechadzka. Albowiem lud wiejski, który go widział wstępującego w ślady swej matki, nietylko że go serdecznie ukochał, ale otoczył go w swej wyobraźni jakimś wyższym urokiem. Kiedy Dobiesław się pomiędzy chaty przechodził, wszystko co żyło wybiegało ku niemu: a takie to były natenczas uśmiechnione twarze, takie otwarte serca, takie usta wymowne, że biednemu chłopcu nieraz oddech się zamykał z radości. — „Panicz nasz ukochany! — wołały do niego wybiegające na podwórze kobiety, — czy jeszcze pojedziecie do szkół do Lwowa? Ej! już nie jedźcie! Zostańcie z nami. Szkoda wam tak się poniewierać pomiędzy obcymi ludźmi". — Toż samo mówili mu także i starzy, z którymi często na rozhowory zasiadał na przyzbie. — „Dobra rzecz, — powiadali mu oni, — nauczyć się czegoś w szkole, niezła i przetrzeć się trochę po świecie: tak to robili wszyscy nasi panowie. Ale bogdaj czy z nich który przywiózł jaką pociechę ze świata! Jako najstarsi tutaj zapamiętają ludzie, każdy z nich przywoził ze sobą tylko smutek i łzy. Byli i tacy, co śmierć przywozili: jako wasz dziad, którego zwano Bernardem, Panie! świeć jego duszy; drudzy i po śmierć pojechali, jako wasz ojciec. Rozważcie to sobie paniczu. A kiedy wam się okaże, że lepiej zostać, to pozostańcie tu z Bogiem i z nami. Macie wy tu coś długów na waszem państwie, macie i brata do spłaty: ej! ale bywało tu nieraz gorzej z waszymi ojcami, a przecie nie poginęli; toż i wy nie zginiecie". — Słuchiwał Dobiesław tych rad braterskich z uwagą i rozrzewnieniem; nieraz łzy mu stawały w oczach: oh! jakże chętnie-by został! — Ależ trudno osiadać na roli tak niedorosłym młodzieńcem. Dlatego tłumaczył im krótko, czemu zostać nie może, a zresztą tę sprawę omijał. Natomiast zaś pilnie się z nich wywiadywał o Nowickiego rządy i sądy, o gospodarstwo, o sprzedaże, o kupna i wszelkie sprawy. I dziwnych nieraz dowiadywał się rzeczy. Nowicki przeciążał chłopów pańszczyzną, szachrował ich pracą, lichwą ich

dusił i ssał bez miłosierdzia: a jak gospodarował, to tylko Pan Bóg mógł wiedzieć i on sam. Wiadomości te niezmiernie Dobiesława martwiły, odbierały mu sen, zatruwały mu każdy pobyt w Grodowiskach. Lecz nie umiejąc na to inaczej poradzić, przestrzegał tylko gospodarzy co starszych i roztropniejszych, mówiąc im: — Strzeżcie się tego człowieka; to ciężki wróg! A na Nowickiego tylko z pod oka spoglądał, jak najrzadziej bywał u niego, traktował go prawie z pogardą, bardzo skrupulatnie się z nim rachował, lecz zresztą milczał jak grób. Zaledwie tu potrzeba dodawać, że Nowicki także nie lepiej patrzał na niego, bo wiedział o wszystkich jego postępkach, grzecznym był wprawdzie, słodkim, usłużnym; ale przed żoną mówił o nim temi samemi słowy: — To ciężki wróg!

Krzesław był innej zupełnie od brata natury: tamtego zawionął jeszcze lotny i idealny duch romantyzmu, tego już nie dosięgnął; ale i z tym niełatwą miał sprawę Nowicki. Krzesław, choć młodszy dwiema laty od brata, był realniejszym od niego. Lubił polować, strzelać do celu, jeździć na koniu, wyprawiać najrozmaitsze pustoty: lecz przytem bywał także myślącym i nieraz chodził tak zatopiony w myślach, że prawie sprzecznie było widzieć tak pracujące wewnętrznie a takie wiotkie pachole. O czem myślał, Bóg raczy wiedzieć. To wszakże pewna, iż ani historyczne pamiątki po ojcach nie obudzały jego zajęcia, ani nawet pamięć półświętej matki nie wprowadzała go w rozrzewnienie: xiążek nie lubiał, pieśni nie spiewał, pomiędzy chaty wieśniacze nie chodził. I do Grodowisk nie często zaglądał, a dosyć chetnie bawił u Nowickiego. Tam wypytywał się o gospodarstwo i jego szczegóły nadzwyczajnie ciekawie. Dlaczego się rola nawozi? Kędy się siewa żyto a kędy pszenica? dlaczego się sadza tyle ziemniaków? dlaczego się pędzi gorzelnię? — musiał mu jego opiekun opowiadać dokładnie i szczegółowo. Toż kiedy potem z swym opiekunem do Grodowisk pojechał, dziwnie dowcipne zadawał mu czasem pytania. — Dlaczego pan Nowicki u siebie sam pędzi gorzelnię a w Grodowiskach ją wydzierzawia? Dlaczego w Plennej zręby po lasach tak małe a tu takie wielkie? Dlaczego u pana Nowicckiego niema żadnego tartaku a tu ich jest dwa i jeszcze trzeci stawiają? — Dziwił się nieraz Nowicki tym zapytaniom; ale przecież nie przyjechał na ferye, ażeby na nie odpowiedzieć nie umiał, zwłaszcza takiemu, który właśnie przyjechał na ferye. Zadał mu nawet raz Krzesław pytanie: — Dlaczego w Grodowiskach niemasz ani jednego żyda, kiedy karczem jest tyle: zaś w Plennej tylko jedna jest karczma a aż trzech żydków koło dworu się kręci? — Nie trudno było Nowickiemu odpowiedzieć na to pytanie, bo Klaudya przykazała to testamentem, tak jak i utrzymanie szkółki i zakładu dla dziewcząt, czemu opiekun wcale się nie przeciwił, bo im więcej było tego rodzaju wydatków, tem oczywiście lepiej było dla niego. Ale gdy wszystko-wiedzący Krześ zapytał go w końcu: — Dlaczego pan Nowicki trzyma sam propinacyę w Grodowiskach? — już mu zaledwie mógł się usprawiedliwić. Pomimo to wszystko wszakże daleko mniej się nim frasował niż Dobiesławem; owszem przeciwnie lubił go bardzo, cieszył sie nim i często o nim powiadał: — To mój wychowanek: będzie też z niego człowieczek nie lada.

Spostrzeżenia te wszakże ciągle go w jego chciwości trzeźwiły, i usiłował przynajmniej być ile możności ostrożnym. Jakoż istotnie gospodarował bardzo pilnie w Grodowiskach, znaczne z nich wyduszał dochody i spłacał długi pozostałe po ojcach, godząc się zawsze z wierzycielami a zapisując summy pełne w rejestrach.

A tymczasem obudwóm chłopakom jak tylko mógł tak dogadzał. Niebawem też zdarzyła się szczególniejsza do tego sposobność. Oto w trzecim roku po śmierci matki Krzesławowi zachciało się koniecznie przenieść się na nauki do Wiednia. Zaraz na to zezwolił opiekun; lecz podał myśl, aby się już obadwa przenieśli do Wiednia. Ale Dobiesław nie chciał, mówiąc stanowczo: — Ja pozostanę we Lwowie. — Jakżeż się nie zgadał Nowicki, aby z nich który ustąpił! Ale napróżno. Każdy z nich, choć taki młody, miał kark nieugięty. I pozostało przytem: Krzesław pojechał do Wiednia, Dobiesław pozostał we Lwowie.

Tak się obadwa bracia rozeszli: oni się podobno już bardzo dawno rozeszli!

Odtąd przez lat dwa nie było żadnej odmiany. Przyjeżdżali obadwa zawsze na ferye, widywali się z sobą, przepędzali razem kilka tygodni, i znowu się rozjeżdżali. I w ich charakterach nie było żadnej odmiany. Wznosili się wzrostem, mężnieli ciałem, przytomnieli umysłem, potężnieli rozumem i w ogóle bardzo znacznie się wykształcali: ale każdy w swoim kierunku.

Nadeszedł wreszcie rok 1846. W Krakowie, we Lwowie a osobliwie w tej części Małopolski ważne i krwawe zaszły wypadki. W postaci potwornej, w towarzystwie mordów, krwi i pożogi, zestąpiła nowa idea na ziemię: ale przybrała ciało i z światła marzeń przeszła w świat rzeczywisty. Nowa i wielka została spełnioną ofiara: ą krwawym dla niej ołtarzem stała się podkarpacka kraina. Okolica, w której leżały tutaj wspomniane majątki, uległa może najkrwawszym mordom ze wszystkich. Ale i w tej okolicy nie obeszło się bez pięknych i wzruszających wyjątków, które najlepiej dowodzą, o ile takiej natury wzburzenie ludowe było wyjątkiem w całości. Wyjątkowo i dziwnie pięknie postąpiły sobie gromady państwa Grodowisk. Zbiegły się one zaraz pierwszego dnia do głównego folwarku, obległy pałac, szpichrze i wszystkie gospodarskie budynki, i jak najpilniej utrzymywały to oblężenie. Śród tłumów oblegających przechadzali się dzień i noc starcy, strzegąc jak najsurowiej, ażeby i kołka nigdzie nie wyciągnięto. Przybiegały tam do nich od czasu do czasu rozmaite bandy zbójeckie: chciały napadać, palić, rabować; ale każdą z nich zacna starszyzna odpędziła okrzykiem: — Dajcie tu pokój! to

sieroce dobytki! — I każda z nich została odprawioną, a po bokach i przepłoszoną kijami. Przyszła wszakże nakoniec banda taka, z którą się trudno było rozprawić pogodnie. Waleczni Grodowiszczanie poszli z nimi w załebki i już ich nawet cokolwiek nakładli, po oborach, po stajniach i przed drzwiami pałacu. Ale i to nie pomogło: i było już wielkie niebezpieczeństwo. Natenczas wpadła starszyzna na myśl szczęśliwą, choć rozpaczliwą, i zaczęli wołać: — Dajcie też pokój! a co wy tutaj weźmiecie? Zubożali tutaj mieszkali szlachcice. W pałacu same stare graciska, szpichrzysko próżne a w stajniach same wywłoki. Chcecie się popaść, to chodźwa do Plennej! — Chodźwa do Plennej! — ryknęły całe setki rozpasanego gminu — i w małą godzinę cała ta chmura gradowa spadła na dwór Nowickiego. Przezornym był Imć Nowicki i miał dwóch żołnierzy u siebie, ale dwóch tylko: a choćby był miał ich więcej, to i ci-by nie byli pomogli. Jakoż porwano go wcale niespodziewanie, wystraszonego jak upior i z włosami stojącemi jak szczotka na głowie. Strach go ogarnął paniczny. Ale go nie zabito; tylko wygarbowano mięciuteńko jak safian. Oddano mu z lichwą wszystkie jego uciski i lichwy. I zawieziono potem do miasta, ażeby się też przesiedział w turmie. Do turmy, oczywiście że go nie przyjęto, i wyprawiono napowrót do domu; lecz za to w domu przeleżał się kilka miesięcy, dopóki mu się włosy nie uleżały na głowie, bo bardzo długo jeszcze był przestraszonym.

Przyszedłszy nareszcie szczęśliwie do zdrowia, pierwszą jego rzeczą było dowiedzieć się, co się dzieje z jego pupillami. O Krzesława był spokojny: i temu rzeczywiście nic się nie stało; ale Dobiesław gdzieś zniknął ze Lwowa bez wieści. Nowicki rozpisał listy do wielu osób o niego, ale nic się z nich nie dowiedział. Wypadło mu tedy samemu pojechać do Lwowa: a tak dopiéro dowiedział się, iż Dobiesław jeszcze w miesiącu Marcu uznał za dobre na jakiś czas za granicę wyjechać. Dowcipny opiekun domyślił się wprędce, dlaczego Dobiesław przedsięwziął tę podróż; jakoż rzekł o nim: — Nieodrodna to jest jak widzę ojcowska krew! Jak Bóg Bogiem, tak nic z niego nie będzie...

W pare miesięcy potem odebrał list od Dobiesława z Paryża. Dobiesław mu pisał, iż nie myśli wcale powracać, że zaczął chodzić na kursy nauk technicznych, że myśli się kształcić w tym zawodzie do końca, zaczém go prosi, ażeby mu tam przysyłał choć cokolwiek pieniędzy. Wiele nie potrzebuje, a nawet go prosi, ażeby miał więcej względu na jego młodszego brata, niżeli na niego, bo on już coś i zarobić potrafi; ale zarobek w Paryżu jest trudny, zaczém jakiejś pomocy potrzebuje koniecznie.

Zacny opiekun długo rozmyślał nad tem, czy ma mu posyłać pieniądze, czy nie? Mógł mu nie posyłać, i usprawiedliwić się tem, że nie powinien posyłać. Ale rozważywszy i to i owo, zaczął mu cokolwiek posyłać, przynajmniej tyle, ażeby z nędzy i głodu nie powrócił do kraju.

Tak minęło znowu dwa lata, — i nadszedł rok 1848. Nowe idee w łagodniejszej już wystąpiły postaci, lecz chciwe wcielenia się, przedwszystkiem innem zniosły poddaństwo i robocizny. Nowicki, chociaż narodem i rodem, fortuną i tradycyami, tak nowy, jak jego własne nazwisko, z początku nie mógł wcale tych nowych rzeczy zrozumieć: ale zniesienie pańszczyzny doskonale zrozumiał. Obrzydła mu wtedy i opieka, i jego wieś własna, i całe jego życie. Obsłuchawszy się dobrze, co ludzie mówią, i czego pragną, i co zamierzają, niezmiernie mu żywo przed oczyma stanęły jego przeddwuletnie safianowe wspomnienia: i jakoś straszliwie gorżko mu się zrobiło na ustach. I postanowił sobie zamknąć się w Plennej i nic już nie mieć do czynienia z tym światem, w którym już nie ma ani pańszczyzny, ani dominiów, ani mandataryuszów. Jakoż kiedy natenczas nagle się przed nim zjawił Dobiesław: on go z całego serca przywitał, szczérze namawiał ażeby Grodowiska odebrał, i podejmował się sam zaraz mu pełnoletność wyrobić, do której już tylko jednego brakowało mu roku.

Ale Dobiesław wtedy, gdyby nawet już był pełnoletnim, nie był-by za nic brał się do gospodarstwa. Jakoż tylko wpadł do Grodowisk, swój ukochany kościółek odwiedził, pomodlił się u grobu rodziców, swoich ukochanych wieśniaków pozdrowił, serdecznie za obronę im podziękował — i do Lwowa odjechał.

Tyle go widział Nowicki.

Dopiero prawie w rok potem doszła go jakaś wieść głucha, jakoby ten nieodrodny syn swoich ojców znowu się znalazł w tem położeniu we Lwowie, iż mu się zdało rozumniej za granicę wyjechać. A ponieważ natenczas Węgry były tak dobrze jak za granicą, a do tego jeszcze tak blisko, więc wyjechał do Węgier. Natenczas troskliwy opiekun już tylko ręką machnął na niego i rzekł: — Wiekuiste ladaco! Oczywiście że go tam kędyś zabiją, ot! i taki koniec będzie wszystkiemu.

Potem już tylko zasłyszał o nim, iż go nie zabito, choć był na wojnie, — z której wyszedłszy zdrowo, znów do Paryża pojechał i znów się tam zaczął uczyć nauk politechnicznych. Ale już wtedy ukochany przez niego Krzesław był w Grodowiskach....

(*D. c. n.*)

Co zostało po Jacku?

Jacek miał szkaplerz i szablę starą,
Toż wierzył w Boga i bił się z wiarą;
A gdy mu w boju szczęście nie sprzyja
On tylko krzyknie: „JEZUS, MARYJA!“
I sam już nie wie, jak się to stało,
Że przed nim leży pogańskie ciało,
A że in *dubiis libertas* dana,
Mówi więc Jacek: To ręka Pana. —

Długo z pogaństwem Jacek tak hasał,
Świętym szkaplerzem szablę opasał,
A gdy umierał z Bogiem i z wiarą
Dał dzieciom szkaplerz i szablę starą;
I na papierze dał im trzy słowa,
By pamiętała dziatwa Jackowa,
Czem był ich ojciec, i czego trzeba,
By boża łaska spłynęła z nieba.

A kiedy klęska dziatwę dotknęła,
To wzięła szkaplerz — szabli nie wzięła,
I gdy ją pogan cisnęło plemię,
Wzywała Boga z nieba na ziemię —
Lecz próżne modły i próżna skarga!...
A Jacek w grobie siwy wąs targa,
I woła z trumny: Źle z wami dyablo,
Kiedy mój szkaplerz nie w parze z szablą! —

-y-

Pamiątki Trębowelskie

przez

Augusta Bielowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Do znakomitych Trębowlanów należy też Jan Samuel Chrzanowski, waleczny obrońca zamku w czasie oblężenia Trębowli od Turków roku 1675.

Szczegóły tak tego oblężenia jak i dawniejszych są prawie nie znane, i w ogólności daje się czuć brak u nas dokładniejszego zbioru podań i zapisków miejscowych, mimo że mamy niektóre okresy dziejów narodowych bardzo obszernie skreślone przez znakomitych pisarzów.

O Trębowli zalatywała nas od dawna wieść, iż znajdować się ma jakowyś Dziennik jej oblężenia przez naocznego świadka spisany. Napomknął był o tem Karol Milewski w noworoczniku Wanda wydanym w Warszawie roku 1825 na str. 192. Powtarzali to za nim i inni, ale bliższych o tem szczegółów, równie jak i źródła samego z którego wiadomość tę zaczerpnięto, trudno było wyśledzić. W roku 1842 odświeżył w naszej pamięci wieść tę zasłużony wydawca Pamiętników o Koniecpolskich, Stanisław Przyłęcki; nie podobna jednak było i tą razą powziąć o tem dokładnej wiadomości.

Roku 1847 w miesiącu lipcu korzystałem z udzielonego mi pozwolenia wypoczęcia przez parę tygodni od obowiązkowych moich zatrudnień. Przejazdkę moją skierowałem w okolicę Trębowli, gdzie w pobliżu bawił natenczas A. R. jeden z tychto przyjaciół, w których towarzystwie równie nauka jak i rozrywka milszą nam się staje. Główny mój zamiar był, przepatrzyć tam biblioteczkę xięży karmelitów, która od wielu lat szczelnie zamknięta, niedostępna była nikomu z podróżnych, najbardziej przez to, iż klucz od niej znajdował się we Lwowie, u przełożonego tegoż zakonu. Właśnie byłto czas w którym ów przełożony przybyć miał do Trębowli, a światły i uczynny xiądz Ignacy Chodynicki, karmelita, ułatwił mi wszystko co było potrzebne do dopięcia mego zamiaru.

W biblioteczce, umieszczonej w jednej z zakonnych cel trębowelskiego gmachu karmelickiego, zastałem około 200 tomów dzieł i broszur różnych, dość porządnie w szafy ułożonych. Był też na stole ich katalożek ręką, jeśli się nie mylę, samegoż xiędza Chodynickiego spisany. Druki nie wiele mię zajęły, chociaż były między niemi dzieła niektóre cenne i dobrze zachowane, jako to Wolumina legum z inwentarzami, dzieła niektóre Skargi i innych kaznodziejów w wydaniach z XVI i XVII wieku, biblie łacińskie i dzieła rozmaite ojców kościelnych; z rękopismów zaś obejrzałem Służebnik, czyli mszał słowiański, na papierze lśniącym, w czwartce, pisany półustawem w XVI, a może XVII wieku; jeden tomik zdań i wypisów z autorów łacińskich, i z różnych lat regestra klasztorne, czyli tak zwane komputy. Te zaostrzyły najwięcej moją ciekawość, bo postrzegłem w nich kilka szczegółów, które przypomniały mi ową wieść o dzienniku oblężenia; przepatrywałem je więc karta za kartą.

Grzeczny i uczynny przełożony tego zakonu, który mi wstępu do biblioteczki dozwolił, widząc że mnie te xięgi zajęły, oznajmił mi iż gotów jest zabrać je do Lwowa, gdziebym je sobie wygodniej i przez czas dłuższy mógł przepatrywać. Zdawało mi się atoli że xięgi zawierające spominki miejscowe z czasów dawniejszych, nierownie wyższą mają wartość na miejscu samem niźli gdzieindziej. Nie chciałem tedy być powodem zabierania ich ztamtąd, i zabawiłem kilka dni w Trębowli wyłącznie tylko dla należytego ich przepatrzenia.

Z uwag nasuwających mi się przy ich przepatrywaniu, które podówczas zapisałem, daję tu niektóre dlatego że, jak mię zalatują wieści, xięgi owe w gmachu karmelickim trębowelskim już się więcej nie znachodzą.

Komputów jest dwie grube xięgi w formacie półarkuszowym, oprawne w skórę czarną, a pojedyncze ich kartki ponadklejane są tu owdzie z powodu ich starości. Pierwsza xięga obejmuje dochody i wydatki klasztoru od roku 1630 do 1648 włącznie; druga zaś od roku 1648 aż do czasów najnowszych. Karty w obydwoch nie liczbowane. W pierwszej xiędze brak tytułu i kart początkowych; zdaje się więc że początek sięgał czasów bliskich samego założenia klasztoru, około r. 1617. Utrzymane są zresztą dość porządnie.

Rubrykowane były w ten sposób, że każda stronica ma dwie przedziałki, z których pierwsza dochody, druga wydatki klasztoru obejmowała. Ponieważ dochody klasztoru były jednorazowe, mianowicie roczne tylko lub kwartalne, a wydatki codzienne, więc przedziałka pierwsza zostawała najczęściej próżna. W tem

tedy miejscu zaczęto wpisywać przygody osobliwsze miejscowe. Treść ich zrazu nadzwyczaj krótka i wcale nieosobliwa rozszerza się nieznacznie z postępem lat, i od zjawisk natury, od wróżb pogody lub burzy przechodzi do dziejów, do oblężeń twierdzy i staje się zajmującą powszechnie.

Takim tedy sposobem, w przeciągu lat kilkudziesięciu powstał śród tych komputów rodzaj pamiętnika, mający tę szczególność, że w nim polityczne a ściśle z miejscowością tutejszą wiążące się zdarzenia otrzymują niejedno pojaśnienie, uzupełnienie, a poniekąd i zatwierdzenie w dochodach i wydatkach klasztornych.

Pismo dochodów i wydatków bezustannie się zmienia: zaciągały je różne osoby w końcu każdego jak się zdaje tygodnia. Toż samo było i z osobliwościami: wpisywali je w różnych czasach, różni, a wpisywali jednocześnie ze zdarzeniami, lub wkrótce po nich.

Każdą stronicę komputu podpisywało dla większej wierzytelności xięży trzech, dwoch, lub przynajmniej jeden; z podpisów więc tych można dojść przez porównywanie pisma którzy to xięża składali się na owe osobliwości. Trafia się wprawdzie gdzieniegdzie że pismo jest zupełnie odrębne; z tem wszystkiem w innych znowu miejscach prawie wątpliwości nie podpada, kto to lub owo zdarzenie zapisywał. I tak pod rokiem 1672 wpisywał je Franciszek Poniatowski, ówczesny karmelita, który, jak mi to xiądz Chodynicki z innych xiąg klasztornych wynotował, sprawował urząd przeora w kilku konwentach, mianowicie w Białyniczach, w Trębowli i w Bołszowcach. W tym ostatnim przestał żyć roku 1692. Przygody pamiętnego oblężenia Trębowli roku 1675 wpisywał, jak się zdaje, xiądz Chrzanowic, który był zrazu kaznodzieją, poźniej przeorem klasztoru, a dziwną jakowąś myłką podpisywał się raz Chrzanowic, drugi raz Chrzconowicz. Nakoniec pod rokiem 1678 poznajemy w zapiskach tych, samegoż ówczesnego przeora, Karola Raczkowskiego.

W tomie pierwszym niewiele przygód zaciągniono. W dochodach też i wydatkach mało co postrzegamy takiego, coby na ważne jakie wypadki publiczne w tej okolicy wskazywało. Pod rokiem 1630 widać nagły przechód wojsk tamtędy, a mieszkańce z okolic chronią się do zamku. Między wydatkami czytamy:

Lata 1630 w niedzielę trzecią po wielkiej nocy dnia 6, na gorzałkę i konfekty dla panów żołnierzów chorągwie jegomość pana hetmana polnego, Stanisława Koniecpolskiego, gdy nocowali w Trębowlej, groszy 16.

Krotofilny zapisywacz robi tu następującą uwagę: „Nie dali nic; obiecali być łaskawi; ale i łaska bez datku nic“.

Dalej dowiadujemy się w tymże roku że skrzynie klasztorne na zamek zwożono; że w wczesną jesień był mróz haniebny, a. w niedzielę wtórą po Trójcy świętej, piątego dnia roku 1631 gorzała Trębowla.

W roku 1633 widać znowu gotowanie się do obrony zamku, w której i zakonnicy nie próżnują. Skupują oni proch, strzelbę, muszkiety, półhaczki i łyżki do lania kul; a w rubryce osobliwości zapisano: Piątego tygodnia po świętej Trójcy, w sobotę, trwogi wielkie i zbiegi.

W niedzielę siódmą po świętej Trójcy łyskanie wielkie na niebie, tak że Trębowla wszystka drżała od strachu: co znaczyło posuchę wielką.

Ważną rubryką dochodów klasztornych były zasługi zakonników wysyłanych do obozu dla posług duchownych w wojsku. Corocznie wpływało ztąd po kilkaset złotych i więcej. Wysłani zakonnicy dzielili też wszystkie niebezpieczeństwa, i nieraz dostawali się do niewoli. Na ich wykupno łożył najczęściej klasztor, ale też i wojskowi nie szczędzili jałmużn dla klasztoru, jak o tem liczne są wzmianki.

W tomie drugim komputu rozpisali się zakonnicy nierównie obszerniej z osobliwościami. Główniejsze z nich umieszczam tu dosłownie w porządku lat, tak jak po sobie następują.

Niedziela 14 po świętej Trójcy roku 1648. Natenczas uchodziliśmy przed nieprzyjacielem, przez niedziel kilkanaście mieszkając w Krośnie.

Zaczyna się rok pański 1649. Daj panie Boże abyśmy go szczęśliwie zaczęli, abyśmy nie uciekali. Przyjechaliśmy do Trębowli dnia 27 stycznia.

Niedziela 17 po ś. Trójcy. Chmielnicki z wojskiem swojem obległ wojsko nasze pod Zbarażem; przez ośm niedziel.

1650. Nastał głód wielki; ludzie korę z lipiny darli, a z plewami mieszali i mełli, i z tego chleb jedli; niewiasty zaś psy łapały i jadły, nawet i trupy i dzieci swoje niektórzy.

1651. Niedziela 4 po wielkanocy. Po tej niedzieli dnia 11go zamknęliśmy się w zamku trębowelskim przed Kozakami i Tatarami, lata 1651, miesiąca maja, za rządów najprzewielebniejszego ojca Parul, przeora.

Niedziela 6 po ś. Trójcy. Tej szczęśliwej niedzieli wyszliśmy z oblężenia, i obraz panny przenajświętszej z tryumfem sprowadziliśmy. W którem (oblężeniu) zostawaliśmy niedziel dziewięć; pod które Kozacy z Tatarami pasiekę klasztorną wybili, konie klasztorne i inne dobytki zabrali, folwarki i chałupy popalili. Podtenczas zamku Paniowieckiego [1]) i Grzymałowskiego [2]) przez zdradę dostali Kozacy, i wszystkie zamki około Trębowlej w przyległości będące od towarów [3]) odsaczyli; miasta popalili, oprócz samej Trębowle, która prawie bez naruszenia za przyczyną panny przenajświętszej została. Pod którą przez trzy dni Kozacy i Tatarowie podpadali z szkodą swoją niemałą, bez naruszenia oblężeńców.... Zamykał się tu przewielebny ojciec przeor z pięcią kapłanów i braci trzech.

Niedziela 15 po ś. Trójcy. Od tej niedzieli począł nas pan Bóg karać w gniewie swoim. Dopuścił srożyć się powietrzu, z braci jedni pomarli, drudzy poszli w rozsypkę, i nie było nikogo coby zapisywał dochody i wydatki, bo też żadnych nie było.

---

[1]) Paniowce wieś, w teraźniejszym obwodzie czortkowskim.

[2]) Grzymałów, miasteczko w obwodzie tarnopolskim.

[3]) Taborów czyli obozów.

Znowu tedy po uroczystości zesłania ducha świętego zaczęliśmy się za bożą pomocą gromadzić i parać się obowiązkami klasztornemi i duchownemi, na chwałę boską.

1652. Powietrze nastąpiło, dochodów ani wydatków żadnych nie było.

1670. Jaśnie wielmożny jegomość pan Jan Sobieski, marszałek i hetman wielki koronny obozem stanął na polach Plebańskich [4]) pod Trębowlą, dnia 15 lipca 1670, nie bez szkody jednak bardzo wielkiej wszystkich mieszkańców.

1672. Sobota przed niedzielą piątą po ś. Trójcy. Tu wojsko nasze z pod Usiatyna uchodzi, to jest, 12 chorągwi z jegomością panem Prusinowskim, regimentarzem natenczas.

Sobota przed niedzielą siódmą po ś. Trójcy. Tu pierwszy raz Tatarowie podpadli, i czeladzi siła w polu nabrali; naszych poddanych także; czeladź nasza ledwie uszła nocą. W tenże także czas Turczyn do Kamieńca z wojskami niezliczonemi podstąpił, to jest: Turcy, Tatarowie, Serbowie, Wołosza, Multanie, Kozacy, i inszy nam nieznajomi.

12 sierpnia zamknął się ojciec wielebny (Atanazy Mościcki) z trzema kapłany i bracią trzema na zamku, gdzie przy łasce bożej, lubo insze zamki poddawały się, bronili się póki mogli z szlachtą i mieszczanami, i inszymi ludźmi.

Tu wojsko ustępowało z pod Usiatyna, 4go sierpnia.

Przerwę tu na chwilę opowiadanie zakonnika trębowelskiego, aby dać niejakie wyobrażenie czytelnikom o ówczesnym sposobie postępowania w czasie nieprzyjacielskich napadów. (*D. c. n.*)

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Najważniejszą częścią Gazety Codziennej są, po artykułach naczelnych poświęconych stosunkom krajowym, korespondencye z kraju, t. j. ze wszystkich stron Polski. Upatrujemy w tem skupieniu głosów ze wszystkich stron Polski najważniejszą cechę narodową dziennika. Korespondencye Gazety Codziennej odznaczają się poglądem trzeźwym na krajowe stosunki bez deklamacyi, czczych wykrzyków i dowcipkowania dla popisu, zapisują one najważniejsze pojawy życia narodowego i poddają je surowej niekiedy ale nigdy namiętnej krytyce.

W jednym z tych listów korespondent Wileński zwraca uwagę na kwestye najważniejsze, jakiemi się zajmował Kuryer Wileński w pierwszych dziewiętnastu numerach. Dwie tedy strony naszego życia, dwie najgłówniejsze, były przedmiotem dyskusyi i polemiki w tem piśmie: strona moralna wychowania i strona materyalna komunikacyi handlowej.

Co do wychowania nie wyczerpnięto w owych kilkunastu numerach tej nigdy niewyczerpanej materyi. Dotknięto jednakże punktu, który w naszych stosunkach jest zawsze jednym z najważniejszych: t. j. wychowania kobiet. Do niedawna jeszcze czyniono spostrzeżenie, a czynili je cudzoziemcy i najwięksi nieprzyjaciele narodowości, że kobiety polskie najgorliwiej utrzymywały i najstaranniej żywiły w zaciszu domowem uczucia narodowe, na których stłumienie i wytępienie w sercach mękiej młodzieży wpływały zawsze u nas szkoły publiczne, zostające pod wpływem obcych kierowników. Zdaje się że na Litwie podobnie jak u nas podupadł od niejakiego czasu ten wpływ zbawienny Polek ne mękzą młodzież, że szczególnie w sercach kobiet „tak zwanego wielkiego świata“ musiało i tam przygasnąć ognisko uczuć narodowych: -- bo dwóch współpracowników Kuryera Wileńskiego obwinia płeć żeńską o złe, panujące w tamtejszem społeczeństwie, którego ani Kuryer Wileński ani Gaz. Codz. po imieniu nazwać nie może, a którem jest upadek ducha narodowego. Wystąpiła wprawdzie przeciwko temu wymownie korespondentka z nad jeziora Trockiego, i kreśląc „silnemi pociągami pióra niedołężność i ospałość płci mękiej, ciska jej w oczy bezwarunkowe obwinienie o wszystko złe, jakie tylko stało się u nas.“ Niezupełnie konsekwentnie jednak, cboć nie mniej słusznie wystąpiła ta sama korespondentka „z nad jeziora Trockiego“ w innym artykule z obroną młodzieży dzisiejszej na „targowisku uczuć“. Uniewinnia ona młodzież mękzą „że wzdycha nie do serca dziewic, ale do ich szkatuły“ bo wychowanie panien naszych „na pensyi skierowane bywa głównie do tego, by się stała tylko istotką, na popis wystawioną, jakowąś lalką salonową“. Twierdzi ona dalej: „że jeden tylko pugilares utrwalić może spokój domowy, zadowolnić wszystkie zachcenia takiej żony“. Oskarzenie to jednej płci nie niweczy oskarzenia drugiej, bo niedołęztwo i materyalny kierunek umysłów jednej, wywołuje wyzuwanie się z uczuć gorących drugiej i nawzajem. Z tego jednak wszystkiego widzimy główną winę złego w publicznem wychowaniu obojej płci pod wpływem wynarodowiającym obczyzny.

Co do komunikacyi handlowej chodzi Kuryerowi Wileńskiemu o rzecz niemniejszą jak zkoncentrowanie ruchu handlowego Litwy, Polesia, Podola, Wołynia i Ukrainy. Wspominaliśmy już o tem usiłowaniu, budzącem się we wszystkich częściach dawnej Polski, do wzniesienia się ku potędze przemysłowo-handlowej. Otóżto znowu jeden z pomysłów wielkiego rozmiaru, prowadzących ku temu celowi. Pominąwszy projekta założenia kantorów komissowych w Pińsku i Kownie, jako w głównych ogniskach handlu zbożowego, aby uwolnić zwłaszcza Pińsk od monopolu faktycznie wykonywanego przez kilku tamtejszych kupców, poruszono tam inne projekta, dążące głównie do zjednoczenia handlowego zabranych krajów. Przypomina Kuryer Wileński że już w r. 1857 powzięli obywatele ukraińscy projekt porozumienia się w tej mierze z obywatelami litewskimi i Pińczukami i chcieli w Pińsku urządzić kantor komunikacyjny, ale projekt ten spełzł na niczem. Dziś rozwój spółki Płockiej otworzył oczy na nowo, i już myśl ta zaczyna coraz bardziej się zbliżać ku wykonaniu. Do tego łączą się plany budowania gościńców łączących ważniejsze miejsca tych ziem współ

[4]) Plebanówka, wieś pół mili od Trębowli.

*

nym kosztem obywatelstwa, projekt wybudowania kolei żelaznej z Pińska do Grodna i projekt odnowienia grobli łączącej Polesie z Wołyniem (tak zw. grobli Butrymowiczowskiej). Dziś zajmuje się temi pomysłami Butrymowicz potomek założyciela tej grobli, b. pisarza Pińskiego za Stanisława Augusta, oraz znany z literackich przedsięwzięć hr. Broel-Plater i p. Maszkowski, zamożni tamtejszych okolic obywatele. Jak ważną jest komunikacya przez Polesie dla całego kraju, to okazuje się ztąd iż myśl okanalizowania tej krainy wniósł już za Władysława IV na sejmie 1635 marsz. Jerzy Ossoliński.

W innym liście obznajamia nas tenże sam korespondent ze stanem teatru wileńskiego, donosząc o wzbogaceniu repertoarza tamtejszego kilkoma sztukami oryginalnemi naszych najznakomitszych autorów. Przedstawiano tam w ciągu zapust tegorocznych J. Korzeniowskiego: Majątek albo Imię i Podróżomanię; A. Małeckiego List żelazny; J. Chęcińskiego Szlachectwo duszy; Wł. Syrokomli Księżniczkę słucką i Kaspra Karlińskiego; A. E. Odyńca Barbarę Radziwiłłównę; ks. G. Puzyninej Muzułmanina na Litwie (krotochwilę). — Wiadomość o posiedzeniu Komisyi archeologicznej odbytem w Marcu przekonywa nas że pod skromną nazwą archeologicznej komissyi skupiają się tam siły naukowe wszelkich gałęzi, bo i z nauk przyrodniczych odbywają się tam odczyty; nareszcie że komissya (o czem już donoszono) czynnie chce wpłynąć na oświatę przez założenie publicznej biblioteki, którąto kwestyę uważa korespondent za jedną z najżywotniejszych między bieżącemi.--Obok tych znamion wzmagającego się życia na Litwie i w jej stolicy, znajdujemy pośmiertne wspomnienie poświęcone Adamowi Jocherowi (ur. w r. 1791 um. d. 3 kwietnia 1860) jednemu z tych cichych pracowników, co bez wielkiego rozgłosu większe około piśmiennictwa położył zasługi niż niejeden, którego imię brzmi we wszystkich zakątach naszej ziemi by przebrzmieć bez śladu. — Wiadomości o planie oświetlenia gazem Wilna, o założonej tam fabryce machin i narzędzi rolniczych i t. d., dają nam obraz niepospolitego dźwigania się tego miasta.

Jakże ożywiony obraz życia w całym kraju przedstawia nam się, gdy zatrzymawszy się cokolwiek dłużej przy tej najważniejszej po Warszawie stolicy w ziemiach zakordonowych przejdziemy, koleją korespondencyi zbiegających się ze wszystkich kończyn, cały ich obszar.

Dowiadujemy się z korespondencyi z pod Słupcy w Konińskiem o szczęśliwej krainie którą tak opisują: „kraina per excellentiam rolnicza, gleba pszenna wydaje piękne ziarno wszelkiego zboża, a kupiec każdego dnia, o każdej niemal godzinie pożądliwie nań czycha i daje cenę tak wysoką, jakiej w całem królestwie nie płacą". Nie westchnie że tu każdy z czytelników, który się biedzi z naszą niewdzięczną rolą, za tą rajską krainą? Leży ta okolica przy gościńcu między Warszawą a Poznaniem, przy samej granicy poznańskiej i wysyła zboże swoje wprost do Berlina. Słupce, pisze korres., jestto druga Odessa a w korzystniejszych jeszcze warunkach położona. Szkoda że handel w tej lichej mieścinie został całkowicie pochłonięty przez żydków. Ubolewa kores. nad gnuśnością obywatelstwa w tej mierze, nad brakiem zupełnym kantoru komissowego i t. p. „Jeszcze tam mierzą na wirtele, na trojaki liczą a jeżdżą saniami bez dyszla" — a jednak mógłby kores. wskazać obywateli „co prócz milionowego majątku w ziemi, posiadają miliony w nieruchomych kapitałach". Szczęśliwa kraina! — Z Suwałk zaczyna korespondent jeden z listów swoich przymówką do tych, co się spaźniają z pójściem za mąż i ożenieniem, natchnioną końcem zapust a oraz zapewne prywatnemi korespondenta stosunkami, lecz zakończonej przecież pochwałą ostrożnych, popartą Kochanowskiego słowami:

Trzykroć szczęśliwy, któremu ty zdarzysz
Ten związek, Panie: ale zły towarzysz
Odejmie wszystko, że troski wpółwieka
Zgryzą człowieka".

Donosząc o zapaleniu się sukni na jednej panience podczas zabawy, przypomina wypadek spalenia się księżniczki Czartoryskiej na balu u dworu za księztwa Warszawskiego. Dzwony pogrzebowe powitały ojca wjeżdżającego do Warszawy, a na zapytanie przy wjeździe przez rogatki: „Czyj to pogrzeb?... otrzymał odpowiedź zupełnie obojętną: „księżniczki Czartoryskiej co się spaliła". Niemała w tym liście rozmaitość. Od tych wspomnień zapustnych przechodzi do gościńca łączącego Suwałki z koleją żelazną a blizkiego ukończenia, urządzenia stacyi telegraficznej, otworzenia młyna parowego, teatru pod dyrekcyą Chełchowskiego, koncertu O. Szczepanowskiego gitarzysty i „reprezentacyi teatralno-muzykalnej" na korzyść instytutu muzycznego w Warszawie. Lecz najważniejszą rzeczą jest zebranie rolniczo-obywatelskie, które się odbyło u p. Józefa Abłamowicza w jego wsi Justyanowie, gdzie radzono nad projektem założenia Domu zleceń rolników Augustowskich w Suwałkach a przyjęto z zadowoleniem projekt p. Kazimierza Brockiego założenia domu komissowo-handlowego w Suwałkach.

Korespondent z Lipna w ziemi Dobrzyńskiej pisze znowu o koncertach na cele dobroczynne, o teatrze pod dyrekcyą Słabińskiego, a jako specyalność, godną istotnie podniesienia, że w kościele Lipskim odbywać się zwykły podczas wielkiego postu nieszpory polskie, z odczytywaniem po nabożeństwie Czytelni Niedzielnej i pism ks. Antoniewicza. Skarzy się kores. (p. Zagłoba) że w tem mieście liczącem 5000 mieszk. prenumerują zaledwie po kilka exemplarzy warszawskich pism. Cóżby powiedzał p. Zagłoba gdyby do nas przyjechał?

Z Płocka znowu wielki koncert na dochód Instytutu muzycznego i bal na ten sam cel. Takich koncertów i teatrów amatorskich, odbywa się nie mówiąc już o samej Warszawie bez miary i końca po różnych miastach i miasteczkach. Możebyśmy ubolewali nad tym szałem muzycznym, gdybyśmy nie wiedzieli iż jest chwilowy i skierowany tylko ku dźwignieniu zakładu narodowego dla muzyki w Warszawie. Gdyby ten zapał miał potrwać należałoby go wszelką siłą poskramiać, by zapobiedz spaczeniu dążności obywatelskich i odwróceniu ich od rzeczy nierównie ważniejszych i droższych narodowi.

Z Żytomierza znowu wiadomość o koncercie na rzecz Instytutu muzycznego w Warszawie, ale zarazem i

o tanich drukach, których tam niemały poczet już wyszedł, i o teatrze pod dyrekcyą Miłaszewskiego, który tam doznaje opieki ks. Kazimierza Lubomirskiego, a zawezwany jest na miesiąc Maj do Kowna przez marszałka Załęskiego.

Pomijamy wiele korespondencyi zawierających tylko wiadomości obojętne (czasem historyę miasta z którego są pisane) nekrelogi osób znanych w okolicy, opisy balów, reklamy na korzyść artystów, literatów, przedsięwzięć przemysłowych — wszystko rzeczy wskazujące wielki ruch piór i drobnych piórek w kraju, wzniecony przez dzienniki. Nie możemy pominąć korespondencyi zakordonowych Gaz. Cod. mianowicie Poznańskich, Krakowskich i Lwowskich. Pierwszy z tych korespondentów był najgorliwszy w tych czasach, ostatni najopieszalszy.

Poznańskie korespondencye dają nam bolesny obraz upośledzenia wiel. ks. Poznańskiego przez rząd pruski, a co smutniejsza przez Niemców, których reprezentacya na sejmie berlińskim zebrana, stawiała systematyczny opór wszystkim wnioskom posłów polskich dążącym do ulżenia krajowi ucisku. Ucisk ten jest dwojaki: narodowy i materyalny, i ten materyalny ma właściwie cechę narodową, bo jestto umyślne zubożanie ziomków na korzyść cudzoziemców. Tak uchwalono w prowincyach niemieckich pruskiego państwa zmianę w wybieraniu landratów (przełożonych obwodów), ale dla Poznańskiego nie uchwalono tej zmiany, by miało prawo wybierać sobie landratów podobnie jak prowincye niemieckie, tylko pozostawiono tam stan wyjątkowy: nasełania landratów z ramienia rządu. W obec autonomii całej monarchii pozbawione jest jedno księztwo tego prawa. Podobnego upośledzenia doznaje księztwo co do szkół i zakładu kredytowego, pomimo silnie odzywających się na sejmie głosów Cieszkowskiego, ks. W. Radziwiłła i innych. — Obok tych smutnych wiadomości mieści się pogląd na ruch literacki, niezbyt ożywiony i na krzątanie się około moralnego dobra ludu.

Do tej ostatniej kategoryi należy zaprowadzenie wielce dobroczynne zakładu Służebniczek Bogarodzicy, opiekujących się ochronką przez ks. Koszutskiego w Mielżynie. Ks. Koszutski ma zamiar rozszerzyć zakład ten na całą prowincyę.

Z Krakowa wiadomość dość obszerna o tamtejszej wystawie obrazów i o teatrze.

Ze Lwowa krytyczne sprawozdanie o czynnościach Towarzystwa gospodarskiego, o zależności najważniejszych krajowych instytucyi, jako to: towarzystwa kredytowego, gospodarskiego, kasy oszczędności i kolei żelaznej od jednego i tego samego grona obywateli; o budzącym się ruchu przemysłowym w obywatelstwie naszem, który każe się spodziewać wyzwolenia z pod owego wyłącznego wpływu kilku lub kilkunastu obywateli; o kilku nowych stowarzyszeniach tworzących się u nas lub projektowanych, jako to: żeglugi na Dniestrze, handlu gorzałczanego (w kilku obwodach), towarzystwa ubezpieczeń, spółce oleju skalnego, domu komisowego dla ziemian i t. d.

W końcu wypada nam nadmienić o zagranicznych korespondencyach, których wielka jest obfitość w Gaz. Cod. ze wszystkich stolic Europy, po większej części treści politycznej. Jak zajmujące są niektóre z nich, niech służy za dowód ta okoliczność, że zdarza się iż dzienniki niemieckie je tłumaczą (np. Allgemeine Zeitung charakterystykę Napoleona III) nie podając, rozumie się, źródła.

Galicya w pierwszych latach rządów Austryi.

W Pradze wyszło obszerne dzieło J. A. Helferta, które nazwał: „Die österreichische Volksschule“, a podzielił na trzy oddziały: „Geschichte, System, Statistik“. — W historycznym oddziale tego dzieła, znajdujemy ciekawe szczegóły o sprawie języka i narodowości naszej w pierwszych latach zaboru Galicyi. Helfert wykazuje zasługi Austryi, które położyła dla kraju tak zaniedbanego, jakim miała być pod ów czas ta podkarpacka część ziemi polskiej. Niemiecka cywilizacya miała okrzesać dzikie obyczaje przodków naszych i z wszystkich Austryi ludów uczynić jeden, potężny naród, jak to w referacie o Galicyi powiedział baron Gebler. (votum Geblers 2 Aug. 1780. Cab. A. 1779). Ale posłuchajmy Helferta:

Patentem z dnia 11 Września 1772, mówi Helfert, wzięła cesarzowa Marya Terezya Galicyę i Lodomeryę w posiadanie. Uporządkować te zaniedbane kraje było niemałem zadaniem. Przy tej sposobności, wtrąca Helfert, że Marya Terezya niechętnie wzięła Galicyę, uczyniła tylko zadość naleganiom syna i Kaunitza. Pierwszym administratorem Galicyi był hr. Pergen, którego cesarzowa przysłała: *cum plena facultate, ut nomine nostro occupatas provincias administret.* Pergen ogłosił powszechną amnestyę konfederatom, wolność wyznań, a malkontentów powołał do powrotu i zagroził, że w przeciwnym razie zabierze im majątki. Potem zniósł urzędy „republikańskie“ unieważnił wojewodów, wziął w posiadanie dobra królewskie, rozpisał podatki i nakazał siejbę. Dnia 1 Grudnia zaprowadził w całym kraju wagi i miary, zliczył żydów i zapisał wiele było zboża w całym kraju. W Styczniu ustanowił sąd apelacyjny i gubernialny i ogłosił środki zaradcze przeciw zarazie na bydło i t. d. We Wrześniu uzyskał baron Karol Rewicki akt ustąpienia Galicyi od króla Stanisława i sejmu, a 15 Listopada ogłoszono patent, aby do trzech miesięcy wszystkie stany kraju złożyły przysięgę poddaństwa. Jakoś nie sporo szła ta sprawa, bo 18 Stycznia przydłużono ten termin znowu na drugie trzy miesiące. W tymże samym czasie bawił Józef II w Galicyi, na jego rozkaz wyrobił Pergen referat, w którym mówi: „W Galicyi nie ma prawie nigdzie szkół, albo są bardzo liche. Potrzeba przysłać tu zdolnych ludzi, albo przeciwnie krajowców wysłać na naukę do Wiednia, którzy cośkolwiek po niemiecku umią, albo w najgorszym razie użyć wasser-polaków od Szlązka. Przy takich okolicznościach trudno żądać od belfera, aby był wyćwiczonym muzykantem i t. d.“

Cesarz Józef był cywilizatorem; roku 1774 napisał do hr. Wrbna o szkołach w Galicyi. Ale kanclerz dworu wstrzymał zapał swego pana demonstrując: „że na ten raz trzeba się jeszcze powstrzymać od podobnych uszlachetnień i zaprowadzenia tak wybornych instytucyj w kraju tak stra-

sznie dzikim". Marya Terezya uwzględniła trudne zadanie kanclerza i wymagała tylko od niego aby przynajmniej do wychowania młodzieży coś przygotować. W tym celu rozporządza, aby miasto Lwów kilka „subjektów" do Wiednia na naukę posłało.

Roku 1775 wypracował radzca gubernialny Koranda rys do ustawy o szkołach. Koranda był tego zdania, że w Galicyi trzeba zacząć *ab ovo*, to też przy sporządzeniu książek szkolnych zalecił „uważać na te strony charakteru narodowego, które wymagają uszlachetnienia i pojednania z nową formą rządu". W czem jednak miało zależyć to uszlachetnienie, dowiadujemy się poniżej. I tak chce Koranda, aby w katechizmie szerzej traktowano rozdział o siedmiu grzechach głównych, „mianowicie możnaby ostro wystąpić przeciw piątemu, to jest przeciw obżarstwu, któryto występek w Galicyi górę bierze". W tym samym celu chce Koranda użyć historyi i geografii. „Do geografii, mówi tenże, należy także moralna strona charakteru narodowego, w czem z geografii Büschinga korzystać można. Należy przytem zwrócić uwagę: na despotyczne traktowanie biednych poddanych; na bezkarne zabójstwo, które każdy właściciel mógł popełnić na swoim poddanym, (ta nauka miała pojednać mieszkańców z nową formą rządu!); na ucisk drobnej szlachty przez większą i majętniejszą; na nieświadomość literatury, na nieznośną dumę narodową co do przybylców; na fanatycznego ducha wolności; na kosztowną wystawność co do powierzchowności a mianowicie przy pogrzebach i żałobie, a przytem na nieczystość domowego gospodarstwa..... Dalej poleca w takiej geografii zwrócić uwagę „na bajeczny luxus płci nadobnej, która niedbałą jest o gospodarstwo domowe, próżną i lekką; na wchodzące co raz więcej w praktykę nadużycia rozwodu, otrucia i skrytobójstwa; a w końcu na rodzinny występek kraju, to jest: pijaństwo, które między wszystkiemi stanami panuje, a nawet podniesione jest do solenności dni świątecznych..." (Nie wiemy zkad referent brał te wady „narodowe", ostatnią zapewne z karczmy). Są to tylko wady „pierwszej klasy"; Koranda sądzi, że jest ich daleko więcej. Te jednak dla tego tu spisał, aby komisya szkół miała pod ręką materyał, z któregoby najwyrazistsze cechy wpisane były w geografię, aby tym sposobem miał naród okropny obraz niemoralności nago i namacalnie przed oczyma.

Większe jeszcze trudności, od tej niemoralności „dzikiego kraju", przedstawiały się Korandzie w kwestyi języka narodowego. Przy tej sposobności uczynił Koranda to odkrycie, o którym zaraz do Wiednia doniósł, że w Galicyi nietylko ma się z polskim językiem do czynienia, przeciwnie „w większej części rewindykowanego królestwa, a mianowicie w niegdejszem województwie Czerwonej Rusi, miasto polskiego języka jest pewien rodzaj ruskiego albo ilyryjskiego, używany przez chłopów". W tym miejscu czyni p. Helfert uwagę, że tym sposobem nie jest to Stadion wynalazcą ruteńskiego ludu, jak to nieprzyjaciele jego utrzymywali.

Niemniejszą trudność, jak p. Kuranda z językami Galicyi, miał nowy nasz organizator z wyznaniami religijnemi, p. Felbiger. Było ich trzy: łacińskie, greckie i ormiańskie. Pan Felbiger okazał tutaj charakter bezstronny, wszystkim wyznaniom nadał równouprawnienie, mimo niektórych głosów, które nie były za tolerancyą. A nawet nie pozwolił w szkołach na jeden katechizm, chociaż niektórzy chcieli jednej tylko szkoły i jednej nauki. A że wniosek p. Felbigera co do nauki w rzeczach religii nie mógł przy takich okolicznościach prędko dojrzeć i w czyn wejść, toż młode pokolenie musiało długo czekać na katechizmy i naukę. Trudno się dziwić tej zwłoce. Helfert mówi: „Radcy gubernialni byli tak pracą zarzuceni, że hr. Gallenberg był prezesem, assesorem, referentem i koncypientem w jednej osobie, a nawet musiał expedycye swoim kosztem mundować."

Śród tych prac organizacyjnych zjechał cesarz Józef po raz wtóry do Galicyi r. 1780. Helfert twierdzi, że „jak o wielu innych rzeczach, tak i o szkołach w Galicyi nie mógł Józef swojej matce donieść nic pocieszającego, co się tyczy stanu tegoż kraju. „Galicya, pisze cesarz do matki, jest już ośm lat pod rządem Waszej cesarskiej Mości — czy jest na stopie, jakby to sobie życzyć można? Mówię wraz w waszą cesarską Mością i z wykrzykiem każdego: Nie!" Co do szkół krajowych nie wiele dotąd uczyniono „dla narodu wcale nic, ani dla jego uspokojenia, ni dla jego przyszłości; nic dla jego skonsolidowania ani też oświaty." Nawał pracy nie pozwalał jednak organom rządu zadość uczynić poczciwym życzeniom Józefa II. Wydano tylko rozkazy wypełnienia tego, co już dawniej ustanowiono.

Kwestyę języków monarchii rozstrzygniono patentem. Jednak z większą ostrożnością wzięto się do Galicyi. Już Koranda zwrócił na to uwagę, aby przy rozszerzaniu języka niemieckiego w gimnazyach i szkołoch miejskich mieć wzgląd na to, żeby język tenże zwolna między szlachtą zaszczepiać, o ile to można, i to tem bardziej, „że już od rewindykacyi język polski nie tylko w urzędach politycznych, ale i sądowych zupełnie zniesiono". Mimo to radzi Koranda nie zaniedbywać języka ojczystego, dla tego opuszczono w Galicyi przy nazwie szkół miejskich i wiejskich przymiotnik „niemieckie". Dalej powiedziano: „Nie należy zbyt troszczyć się o poprawienie języka polskiego," tylko postarać się o tłumaczenie książek w najlepszem narzeczu tamecznego języka, mianowicie że niebezpiecznie wzbudzić podejrzenie, jakoby chciało się wytępić język ojczysty, a nawet byłoby to niepodobieństwem.

Bardzo przyjaźnie względem naszej narodowości oświadczyła się czeska nadworna kancelarya, gdy rozbierano kwestyę języka polskiego. Kancelarya objawia swoje zdanie w ten sposób; „Byłoby szkodliwem a nawet wprost niemożebnem, gdyby chciano gwałtem przymusić mieszkańców Galicyi do wyuczenia się języka niemieckiego. Religia, dobre obyczaje i reszta przedmiotów mogą być tak dobrze w polskim jak i w niemieckim języku wykładane, a byłoby to nową zaporą ulepszenia szkół, gdyby to ulepszenie połączono z narzuceniem obcego języka".

Na tem zdaniu ówczesnej kancelaryi nadwornej kończymy wyimki z dzieła p. Helferta, bo zdanie to bez powyższej alternatywy chcielibyśmy przenieść w nasze czasy.

X.

Rocznice historyczne.

18 Maja 1674 r Elekcya Jana III.

Śmierć króla Michała przypadła na zbyt ponurą chwilę niepewności dla narodu polskiego. Groźna chmura barbarzyństwa płynęła z południa zalewając bezlitośnem zniszczeniem kraj, zagrożony hydrą wewnętrznych niepokojów. Cała nadzieja spoczywała w Sobieskim, hetmanie szczupłych zastępów wojska polskiego, owszem żołdactwa niesfornego, bez płacy i zaopatrzenia, każdej chwili gotowego zgubny podnieść rokosz. Niedziw więc ogólnej a bezmiernej radości, jaką napełniła naród wieść o zwycięztwie chocimskiem, o upokorzeniu strasznego Turczyna, o korzystnych układach z butnym Doroszeńką. Z całą więc swobodą spieszono na elekcyę nowego króla, i w początkach maja 1674 r. zaległy błonia Woli pod Warszawą tysiące braci szlacheckiej, tysiące wolnych głosów obiorowych.

Po otwarciu sejmu nastąpiły jak zwykle audyencye posłów licznych kandydatów do tronu. W najpochlebniejszych wyrazach składali książęcy i królewscy legaci przed majestatem narodu hołdy pańskie i ponętne obietnice. Pomijając liczny szereg mało uwzględnianych starań przypominamy tylko zabiegi księcia Lotaryngii Karola, księcia Wilhelma Neuburgskiego, królewicza Duńskiego, niezmiernie bogatego książęcia Siedmiogrodu, w końcu syna cara Aleksego Michajłowicza. Trzej ostatni stracili wszelki promyk nadziei dla różnicy wyznania. Dwaj pozostali, wspierani przez najznakomitsze dwory europejskie, stanęli do gorliwej walki o powabną koronę najwolniejszego z narodów. Dwór cesarski wiedeński i królewski hiszpański wspierał starania księcia Karola, francuzki ks. Neuburgskiego. W samej zaś Polsce znalazły obie partye wcale znaczne stronnictwa. Książę Karol pozyskawszy względy i miłość wdowiej małżonki króla Michała, Eleonory i zyskał oraz Paców, kanclerza i hetmana wielkich litewskich, stojących na czele całej prawie Litwy. Nie zbywało mu zaś i na oznakach przychylności niektórych panów koronnych, szczególniej prymasa Floryana Czartoryskiego. Z drugiej strony jednak niechęć i obawa wpływu austryackiego zjednały niemałe stronnictwo Wilhelmowi Neuburgskiemu.

Stało się to wszystko przed przybyciem na pole elekcyjne Jana Sobieskiego hetmana w. koronnego. Z nietajoną wdzięcznością przyjął naród bohatera chocimskiego, obrońcę ojczyzny, lecz również z obawą źle tajoną starali się niechętni mu panowie zagrodzić drogę do zasłużonej nagrody. Jeszcze w początkach sejmu wnieśli Pacowie projekt usunięcia Piasta od tronu — a zazdrość i niechęć osobista rozsiewały między bracią niezbyt pochlebne wyobrażenia o zamysłach zacnego mściciela krwi i łez bratnich na wrogim pohańcu. Tymczasem wzbudziło ukazanie się Sobieskiego w kole obradnem wcale niespodziewany skutek. Donosił pan marszałek — jak go zwykle nazywano — iż bezpieczeństwu chwilowemu nowa i ciężka trwoga zagrażała. Rozproszenie wojska po zwycięztwie chocimskiem przerwało dalsze ściganie zawsze jeszcze niebezpiecznego wroga. Tymczasem gotował Turczyn, ochłonąwszy z pierwszej trwogi, krwawą pomstę za poniesione straty. Krok ten spowodował zachwianie wierności sprzymierzonej Wołoszy i Multan. Owszem hospodar multański pospieszył do Konstantynopola z oświadczeniem poddaństwa, a odgłos układów zawieranych z Doroszeńką ucichł nagle. Polsce zagraża na nowo szereg krwawych walk, niebezpieczeństwa i trudów. Toż jej trzeba króla, któryby zdolen był dzielnem ramieniem zasłonić kraj w przyszłości, którego imię, groźne nieprzyjaciołom, wstrzymałoby ich kroki. Książę Karol, znany z odwagi, nie jest jednak zdolny do spełnienia tych wielkich obowiązków, a młodziuchny ledwie 14letni książę Wilhelm potrzebuje raczej nauki rycerskiej — Polska zaś nie jest dzisiaj w stanie być piastunką królów swoich. Najstósowniejszym monarchą dla Polski — prawił dalej Sobieski — byłby dzisiaj książę Kondeusz. Znana waleczność zjednała imieniowi jego odgłos sławy w całej Europie — toż i Polska może spokojnie i z zaufaniem złożyć w jego ręce bezpieczeństwo swoje.

Wniosek ten wywołał niezmierne zadziwienie przytomnych. Spodziewano się bowiem że pan Marszałek stanie w rzędzie ubiegających się o koronę. Odgłos sławny księcia Kondeusza znanym był w Polsce, a zagrażające niebezpieczeństwa wywołały pożądanie silnej opieki. Stronnictwa Karola i Wilhelma ujrzały z trwogą trzeciego a potężnego spółzawodnika. Śmierć prymasa gorliwego stronnika Wilhelmowego nie przerwała coraz gwarniejszych sprzeczek w kole obradnem. Zachwianą przeto została partya księcia Neuburgskiego, lecz także obawa wpływu austryackiego jak i wspomnienie Kondeusza, tyle pamiętnego z czasów Jana Kazimierza, wzbudzały wstręt w sejmujących. Potrzeba środka zaradczego wzrastała z coraz większem wahaniem się i niezgodą. Taki stan sejmu przedłużył się do 18 maja. Zastępujący miejsce Prymasa biskup krakowski Andrzej Trzebicki wezwał obradujących do głosowania. Wedle przyjętego zwyczaju skupiło się każde województwo około swych naczelników. W gronie województwa ruskiego, w obecności pana marszałka, podniósł głos wojewoda ruski, powszechnie szanowany Stanisław Jabłonowski. W milczeniu gromadzili się coraz liczniejsi słuchacze w około poważnego senatora.

Wiemy — prawił on — że korona potężnym jest ciężarem. Toć nam zważyć, czyim siłom wyrówna obowiązek jej dźwigania. Pominąwszy młodych książąt Lotaryngskiego i Neuburgskiego zwróćmy oko na księcia Kondeusza. Sława jego i przymioty zniewalają do szacunku, męztwo daje niejako rękojmię bezpieczeństwa. Pomimo to jednak wiek podeszły księcia, zdrowie nadwątlone i zupełna nieznajomość narodu któremu miałby panować, nakazują głębszą rozwagę. Młodość tylko zdolna do nauki — a nauki przydłuższej wymaga poznanie naszego oręża, naszego języka, obyczajów i twarzy nawet. Czyż można tego żądać od starca? Dzisiaj gdy położenie nasze wymaga doświadczonego i z krajem nazbyt dobrze obeznanego monarchy, książę Kondeusz mimo świetnych przymiotów rychlejby nam przyniósł niedolę niż błogosławieństwo. A w gronie naszem znajduje się mąż, którego oręż i rada nieraz już z zgubnej toni wybawiły ojczyznę naszą. Kałusz, Podhajce, Chocim jawnemi dowodami jego zasług — imię straszne nieprzyjaciołom a wiek i siła męzka jaśnieje świetną gwiazdą błogich nadziei.

Jan Sobieski, obrońca i zbawca ojczyzny niech będzie i królem naszym. „Kto po tylekroć utrzymał koroną toć ją pewnie i nosić potrafi.“ — Widząc dziwne wrażenie słów wyrzeczonych, przedłużył mowę kasztelan lwowski Maksymilian Fredro. „Słyszycie — wołał — szczęk oręża uzbrajających się Turków, pochód ich wojsk, krzyki zemsty i groźby. Żywot Rzeczypospolitej jest ciągłą a szlachetną walką z wrogami Chrześcijaństwa. Obierzcie królem bohatera, którego życie przeznaczonem zostało przez poświęcenie się jego krewnych, ażeby było długą walką z niewiernymi i długiem zwycięztwem. Obierzcie tego, którego imię jest największem, najstraszniejszem dla nich... tego, którego Bóg Chrześcian nacechował swojem znamieniem na polach Chocimia, w pierwszym dniu bezkrólewia.“

Słowa te wywołały z tysiąca ust okrzyk uniesienia, „niech żyje król Jan III“. W skutek usilnych zabiegów Stefana Czarneckiego pisarza polnego, powtórzyło okrzyk ten za ruskiem województwo krakowskie, a po niedługiej chwili drugich 11 województw. Tylko Litwa stała cicho z ponurymi przywódzcami swymi. Osobista zawiść dwoiła bratnie narody. Widząc to Sobieski podziękował braci szlachetnej w godnych wyrazach za zaszczyt i zaufanie, oświadczając jednak, że ofiarowanej sobie korony przyjąć nie może, gdyż widzi, że wolny naród niejednomyślnie pragnie go za króla, a nie byłoby godnem jego, dostąpić tronu ukradkiem.“ Skromne jednak słowa marszałka nie znalazły powolności u uniesionej braci szlacheckiej. Groźbą i prożbą domagano się powszechnego uznania. Pacowie oddalili się z pola elekcyi, lecz późniejsza rozwaga skłoniła ich do zgody — a dnia następnego złożył cały naród u stóp bohatera koronę, by nią przyozdobił skroń laurem już uwieńczoną. *B. K.*

Kronika literacka.

— Pisaliśmy o mającej się wkrótce ukazać nowej edycyi pism Mickiewicza. — Dzieła te wyjdą najpierwej dnia 20 maja r. b. w 8 tomach, to jest będą na raz tomy: III IV V polskie — zaś VII do XI francuzkie. — Dnia 1 października tom II i VI a na nowy rok tom I polski z portretem poety. — Aby miano wyobrażenie jak starannem będzie to wydanie, i jak wiele mozołu wymaga sumienne odtłoczenie podobnego pomnikowego dzieła, ile około tego potrzeba było pracy i zachodu, ile zasługi przytem położył przyjaciel Adama, Eustachy Januszkiewicz, przytaczamy ustęp z listu Januszkiewicza, wydawcy dzieł Mickiewicza: — Donosząc on, że z tej okazyi codziennie 15 do 20 listów pisuje, powiada następnie:

„Jak to wydanie (dzieł M.) przyjmie publiczność nie wiem, to tylko wiem, żem znacznie posiwiał od roku kiedy się niem zająłem. A od dwóch miesięcy, już sam, odkąd Klaczko do Włoch pojechał, pracuję jakby na zakaz i czytam pięć do sześć korrekt każdego arkusza. Jeźli ten świat z tamtym jest nicią jaką związany, jeźli duchy zmarłych po promieniach jakiego słońca schodzą ku nam, to wiem i ufam że duch Adama nie raz musi stać przy mnie, i litować się nad trudem skoro wątpliwość przychodzi, jak począć z kropką lub średnikiem, czy trzeba lub nie, literę jaką znaczyć akcentem i t. p. Któż to wszystko pojmie? Weźmie książkę i ani Bóg zapłać nie powie. Może też życia pan Niebieski da jeszcze do skończenia reszty, a potem mogę powiedzieć jak Simeon: *mihi dimittis Domine.*“

Różności.

— Stanisława Jana Jabłonowskiego hetmana wiel. kor. posąg stanął wreszcie na jednym z placów miasta naszego. Niemasz we Lwowie drugiego historycznego a równie drogiego narodowi posągu. Poniewierany jak wszystko co przypominało świetność narodu, doczekał się nareszcie ten pomnik po latach ośmdziesięciu, iż za staraniem kilku prywatnych (pierwszą myśl ku temu podał p. Hipolit Stupnicki) a przyczynieniem się miasta, wolno ludowi oglądać rysy jednego z wybawicieli miasta od obcej dziczy.

— X. Waleryan Serwatowski, sekretarz Towarzystwa naukowego w Krakowie ogłasza co następuje: Gdy c. k. Towarzystwo naukowe Krakowskie, udzieliło JW. kasztelanowi Franciszkowi Wężykowi, zajmującemu się dotąd z takiem poświęceniem budową domu Towarzystwa naukowego, pełnomocnictwo do dalszego prowadzenia tej budowli, donosząc więc o tem, oznajmiam zarazem w myśl uchwały Komitetu, że tenże członek, a były Prezes Towarzystwa, upoważnionym został do zbierania składek na dalszy popęd fabryki. Wszyscy tedy, którzy raczą wnieść dary w pieniądzach na dokończenie domu Towarzystwa naukowego, zechcą łaskawie składać je albo na ręce JW. Franciszka Wężyka, albo W. Hipolita Seredyńskiego, podskarbiego Towarzystwa naukowego. Odtąd bowiem tylko ci dwaj członkowie trudnić się będą odbieraniem rzeczonych składek.

— Otrzymaliśmy z Pragi rysunek nagrobku Dymitra Sanguszki znajdującego się w kościele św. Mikołaja w Jaromirzu. Rycina wystawia płytę z wyrzeźbioną pośrodku tarczą, na której się mieści Pogoń. Na około otoczona jest tarcza wieńcem wawrzynowym i napisem: *Hoc loco conditur corpus clari Lithuaniæ ducis Dimithr. Sanduskovien. ex magnifica Olgierdorum familia nati capitanei Cyrkovien. et Kanyouien. quem Martinus Zborowski trucidavit.* Pod tym napisem: *Thu lieszy knize Dymithr. Sandusckowycz starosta Czyrkawski y kaynowsky rodu wyelkiego knize lithewskie Olgierdowa kthurego zamordowal y zabil nieszliachetnick Marczin Zborowski niemyawszy do niego zadny prziciny. 1554.*

— Z Warszawy piszą: Nie wiem czy komu wpadło do rąk jedno z pism francuzkich, które unosiło się nad muzyką napisaną przez Bogusławskiego do opery „Flis.“ Biedny Moniuszko, który zarobioną sławę w Warszawie, postradał w Paryżu. (Wiadomo, że St. Bogusławski napisał libretto, a St. Moniuszko muzykę czyli tę operę). Ale co tu się dziwić Francuzom, kiedy u nas niedawno w pewnem towarzystwie, ktoś utrzymywał, że ze wszystkich utworów muzycznych, najlepiej lubi opery Scribego. Widać posłyszał to jakiś Francuz i odpłacił się wzajemnością, z tą tylko różnicą, że u nas było to powiedziane, a tam ogłoszone drukiem.

— Dobrane małżeństwo. Między poległymi na Pradze d. 4. listopada 1794 r. znaleziono Tomasza Tańskiego z karabelą w ręku, a obok niego z różańcem owiniętym o palce żonę jego Konstancyą z Kurowskich. Wnuką tego bohaterskiego małżeństwa, z którego każde poległo z właściwą sobie bronią w ręku, była Klementyna Tańska później Hofmanowa.

— *Sprostowanie.* W numerze 9. na str. 135 w przedziałce 1 wieszu 5 od dołu zaszła myłka: Mikulińce należą do barona Konopki nie do hr. Baworowskiego. W numerze 10 na str. 153 w przedziałce 2 wierszu 2 od dołu zamiast *electiam* popraw *electionem.*

W tym miesiącu kończy się pierwszy kwartał naszego Pisma. Ci z abonentów naszych, którzy na trzy miesiące prenumerowali, raczą wcześnie nadesłać prenumeratę. Abonenci „Kółka rodzinnego“ mogą za dołączeniem do prenumeraty 1 złr. 50 kr. w. a. otrzymać powieść „NA KRESACH“ oprawioną w broszurę.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.